

Historia jednej fotografii



Historia jednej fotografii

Białystok 2018

Historia jednej fotografii

© Muzeum Pamięci Sybiru
ul. Sienkiewicza 26, 15-092 Białystok

Zdjęcia: z domowego archiwum autorów prac

Wybór i opracowanie: Anna Kietlińska

ISBN: 978-83-948363-5-1

Skład i druk:
Lukas Print
Studio Reklamy
ul. Św. Mikołaja 1 lok. 6
15-419 Białystok

Wstęp

Historia jednej fotografii to zbiór tekstów napisanych przez uczestników konkursu organizowanego przez Muzeum Pamięci Sybiru przy honorowym patronacie Związku Sybiraków w Białymstoku. W tomiku znalazło się piętnaście nagrodzonych prac. Na konkurs wpłynęły prace z Polski, Białorusi i Litwy. Wszystkie połączyła rodzinna fotografia. Chcieliśmy zaproponować uczestnikom konkursu swoistą podróż do domowego archiwum i skłonić do podzielenia się rodzinną historią, skrywaną do tej pory lub opowiadaną jedynie w ciszy domowego ogniska. Chcieliśmy, aby przysłane do nas opowieści miały różnorodną formę literacką, ale ich tematyka koncentrowała się na historiach ludzi, których los rzucił w dalekie stępy Kazachstanu i przestrzenie Syberii. Takich intymnych historii wywiedzionych ze zdjęcia otrzymaliśmy pokaźną ilość. Ta potrzeba podzielenia się z innymi wiedzą o najbliższych, uchylecia tajemnicy biografii dziadka, babci czy najbliższego sąsiada jest niezwykle budująca. Świadczy o tym, że cenimy przeszłość i rozumiemy jej wagę. Staramy się zrozumieć wydarzenia, które rodzinom narzucił bieg Historii i chcemy zrozumieć świat. Ci swoiści świadkowie historii – ludzie, którzy przekazali opowieść i zatrzymane w kadrze migawki ich życia są dziś, zwłaszcza dla młodzieży, najlepszymi nauczycielami życia. Dlatego cieszy, że wśród przeszukujących domowe archiwa była tak duża grupa młodzieży szkolnej.

Gratulujemy wszystkim uczestnikom Konkursu odwagi, pomysłu, dociekliwości i umiejętności rozmowy z drugim człowiekiem. Dziękujemy Wam

do udokumentowanych dziejów naszej Ojczyzny dopisane zostały kolejne karty. W roku rocznicy odzyskania przez Polskę niepodległości prezentowane tutaj teksty mają szczególny wymiar. Pokazują, jak trudno było tę upragnioną wolność utrzymać i jakie ogromne ofiary wiele osób poniosło.

*Anna Kietlińska
kierownik Działu Edukacji i Promocji
Muzeum Pamięci Sybiru*

Intencje organizatorów niech podsumują również wypowiedzi uczestników. Ich odzew pokazał, że konkurs był potrzebny.

* * *

Rodzinne fotografie to skarbnica naszej zbiorowej pamięci. Kto nie lubi oglądać starych albumów z wyblakłymi portretami naszych przodków? Często te utrwalone na kliszy fotograficznej wizerunki bliskich towarzyszą nam w naszych domach, zdobią ich wnętrza i są świadectwem przeszłości. W mojej rodzinie są także takie tradycje, toteż kiedy przeczytałem regulamin konkursu „Historia jednej fotografii”, poprosiłem babcię, by wspólnie spenetrować jeszcze raz rodzinne albumy i odszukać w nich zdjęcie osoby, która została zesłana na Sybir.

Kamil Nowak z Nozdrzca

* * *

Pożółkła fotografia, niemal nieczytelna, a jednak – dzięki małej karteczce z podpisem „Antek i Janek po zakończeniu wojny. Żagań, 1945”. Równe pismo mamy! To pierwsze zdjęcie w najstarszym albumie rodzinnym, zawierającym zdjęcia z lat 1945-1950. Jest samo na całej stronie, przyklejono je klejem zrobionym z mąki, podobnie jak wspomnianą karteczkę. Tak myślę, że dla mamy to było zdjęcie szczególne, bo przecież odzyskała swoich braci – wrócili do domu z zawieruchy wojennej... Ale wydaje mi się, że trzeba wszystko przedstawić w należytym porządku. Ja jeszcze tych wujków pamiętam, spędzałam z nimi wiele godzin na rozmowach o przeszłości, usiłując zrozumieć, na czym polegał ich patriotyzm. Uczyłam się pieśni, które ich wiodły przez życie...

Janina Szymczyk ze Starej Wsi

* * *

Siostra Helena biegła po urzędach, żeby wszystko załatwić i jakoś się udało. Dziadek był jej wdzięczny do końca życia za to, że nie została ich na tej nieludzkiej ziemi. W maju 1946 roku wsiedli do pociągu, którym wracali do ojczyzny. Dziadek mówił, że to był najszcześniejszy dzień w jego życiu. Po pięciu latach niewoli i udręki wracali do domu. Dziadek wyjechał jako sześciolatek chłopiec, a wracał tak doświadczony, że niejeden dorosły nie udźwignąłby ciężaru tego, co on doświadczył.

Dziadek chciał kiedyś spisać to wszystko, co przeżył, ale wspomnienia były zbyt bolesne. Przeżycia sprawiły, że miał swoje „pozostałości” po Syberii: nigdy nie jadł zupy szczawiowej, mówiąc, że tej zieleniny najadł się na całe życie, zawsze miał zapas opału i mąki na zimę, a chleb czczył jak największą świętość.

Magda Bieniewska z Netty Pierwszej

Wiele w niewielu słowach: los rodziny Lewickich

Mój dziadek Jan Aleksander Lewicki urodził się 24 października 1933 r. we wsi Bojary, na terenie obecnej Białorusi (dzisiaj obwód witebski, do 1939 r. – województwo wileńskie).

*Nad jeziorem Szwakszta leży wioska Bojary
Opodal na wzgórzu stoi dom stary
To mój dom rodzinny, tu się urodziłem
Tu dziecięce lata szczęśliwe przeżyłem¹.*

Kiedy był 4-letnim chłopcem, jego rodzice Waclaw i Leokadia Lewiccy zamieszkali w miasteczku Świr i tam założyli swój własny sklep, któremu dali nazwę “Sklep chrześcijański: spożywczo-galanteryjny”. Rodzinne przedsiębiorstwo cieszyło się ogromnym sukcesem. Leokadia pomagała osobiście w czwartki – rynkowe dni, jednak interes skreśliły wydarzenia II wojny światowej. W 1939 r. we wrześniu Armia Czerwona wiarołomnie napadła na wschodnie tereny Polski. Do miasteczka najechało dużo traktorów ciągnących armaty i wkroczyło wojsko. Po krótkim czasie sklep został zamknięty. Brakowało towaru, a dojazd do Wilna był niemożliwy. Co więcej, w marcu roku 1940 rodzina Lewickich musiała opuścić czteropokojowe mieszkanie w Świrze i zamieszkać u pana Morgiewicza na skraju miasta, gdyż owo pomieszczenie zostało zajęte przez NKWD. Jan Lewicki wraz z mamą Leokadią i kuzynką Stanisławą Załubowską, która pomagała sprzedawać, 13 kwietnia 1940 r. został wywieziony do Jesylu (dokładnie

¹ Wiersz dziadka Jana Aleksandra Lewickiego, napisany w latach 1955-1957.

do wsi Kalinowka) na północ Kazachstanu. Powodem aresztu były domysły, że jakoby w sklepie Lewickich zbierają się ludzie, którzy organizują powstanie przeciwko władzy sowieckiej, rozpowszechniają prasę polską i słuchają polskie radio. Zesłańców przywieziono ciężarowym transportem pod biuro kołchozowe. Kobiety pytały, gdzie będą mieszkać. W zamian otrzymały odpowiedź od enkawudzisty: Bierzcie łopaty i kopcie sobie ziemianki. Miejscowa ludność, przeważnie dzieci, kpili i krzyczyli: *Przywieźli polskich panów*. Marną sytuację uratowała współczująca Rosjanka, która powiedziała: *Nie płaczcie, idźcie ze mną. Będziecie mieszkać w mojej izbie i doglądać pisklęta, a ja będę przynosiła dla nich pokarm. Pracuję i nocuję na fermie*. Izba ta to jednopokojowe mieszkanie, wcale puste, tylko koło ścian stały ławy, a pod nimi mieszkały gęsi wysiadujące pisklęta. Leokadia Lewicka w darze wdzięczności dała gospodyni ze swojej garderoby sukienkę. Ona była bardzo zadowolona, bo miejscowe kobiety chodziły w łatanym i znoszonym ubraniu. Ubranie można było wymienić na chleb, ziemniaki i mleko.

W krótkim czasie w rękach „sprawiedliwych” znalazł się także Wacław Lewicki – początkowo wywieziono go do więzienia w Starej Wilejce pod Mołodiecznem (obecnie Białoruś), gdzie każdej nocy trwały przesłuchania. Później zaś, 24 grudnia 1940 r., na mocy wyroku wydanego przez „trójkę”², został zesłany do łagrów na wyrąb lasu w stacji Suchobieżwiednaja w gorkowskim obwodzie, a wiosną 1941 r. – do łagrów Magadanu nad rzekę Kołyma.

Naówczas wszyscy wywiezieni co pewien czas musieli potwierdzić swoją obecność w gminie (sielsowiecie). Jesienią 1940 r. Leokadia i Jan Lewiccy oraz Stanisława Załubowska zostali przywiezieni do osiedla Oktiabrskaja. Tam było więcej zesłanych Polaków. Miejscem zamieszkania okazał się stojący na skraju wsi mały porzucony dom. Wspólnie z zesłańcami zamieszkała także pani Grzelcowa z 4-letnią córeczką i 10-letnim synkiem. Niestety, wkrótce nastąpiła wczesna zima – bardzo śnieżna i mroźna. Kobiety chodziły do lasu i każdego dnia szukały gałęzi na opał, aby móc ogrzać mieszkanie. Tuż przed Bożym Narodzeniem Leokadia zachorowała na zapalenie płuc. Nadzieja, że kobieta wyzdrowieje bez pomocy lekarskiej, była słaba, jednak stopniowo zaczęła powracać do zdrowia. Mijały chłodne dni i noce. W lutym 1941 r. otrzymano zawiadomienie, że dla Lewickich we wsi Bułajewo jest przysłany bagaż – 50 kg mąki, którą można będzie odebrać wówczas, kiedy przyjedzie traktor z saniami – przyczepą. Gdy nadarzyła się taka okazja,

² Komisje powołane na mocy rozkazu NKWD nr 00447 z 30 lipca 1937 roku w celu szybkiego rozpatrywania spraw sądowych (przyp. Redakcji).

Rodzina Lewickich



SKLEP CHRZEŚCIANSKI
SPOŻYWCZO-GALANTERYJNY
WACŁAW LEWICKI



WACŁAW



JAN



LEOKADIA

Jan Aleksander Lewicki z rodzicami Wacławem i Leokadią Lewicką z domu Rodziewicz. Miasto Świr (obecnie Białoruś), 1938 r.

zesańcy pojechali po mąkę. Ile radości sprawiło, że nareszcie można było upiec coś wartościowego i pożytecznego. To dwie babcie Jana Lewickiego – Helena Lewicka i Helena Rodziewiczowa za wspólnie zebrane pieniądze przysłały ten bagaż mąki!

Gdy Niemcy 22 czerwca 1941 r. napadli na Związek Sowiecki, większość Polaków, w tym także Lewickich, wywieziono do akmolińskiego obwodu do pracy związanej z budową drogi kolejowej na stację Jesyl. W korycie rzeki Kyzyl budowano zbiornik na wodę i wieżę ciśnień do pobierania wody dla parowozów. Zimową porą odśnieżano tory kolejowe. Bardzo często miały miejsce burany – śnieżyce, dmuchał mroźny północny wiatr. Nieszczęśliwi ludzie mieszkali w wagonach, a następnie w barakach, których ściany układano z darni. Podłoga była z gliny. Okna malutkie. Dopiero dach i drzwi z drewna. Światła elektrycznego nie było. Każdy miał żelazne łóżko do spania i małą szafeczkę na niezbędne potrzeby oraz swoją *kopciłę*³ naftową. Łóżka były ustawione koło ściany, a na środku – dwie płyty ze wspólnym kominem. Palono przez całą dobę węglem kamiennym. W baraku mieszkało 13 osób. Węgla ciągle brakowało. Starsi chłopcy chodzili na stację podkradać węgiel. Stacja kolejowa miała 5 bocznic. Na całe osiedle światło elektryczne było tylko na stacji kolejowej, w zajezdni parowozów, szpitalu, szkole i w kolumnie wagonów. W jednym z nich mieściły się: elektrownia, tokarnia, ślusarnia i klub, w którym wyświetlano filmy, przeważnie z pola walk w czasie wojny. Chleb otrzymywano tylko za specjalne kartki. Ciągle zmieniały się normy wydawania chleba (600 g – 500 g – 400 g dla dorosłych, dla dzieci – 500 g – 400 g – 250 g). W stołówce wydawano talerz zupy *szczy* na dzień.

Pomyślnym zbiegiem okoliczności, układ Sikorski-Majski z dnia 30 lipca 1941 r. między Polską a ZSRR, przywracający stosunki dyplomatyczne między obu państwami, dał możliwość amnestii dla obywateli polskich: więźniów politycznych oraz zesańców pozbawionych wolności na terenie ZSRR w więzieniach i obozach Gułagu. Wacław Lewicki został zwolniony z łagru, a ponieważ miał poważne problemy zdrowotne, więc nie powołano go do formującej się armii polskiej Andersa pod Kujbyszewem. Korzystając z tej okazji, odważny mężczyzna dowiedział się, gdzie przebywa jego rodzina i, nie zważając na różne trudności, podążył w stronę najbliższych. Rodzinę odnalazł w grudniu 1941 r. Jak twierdzi Jan Lewicki: dzień spotkania

³ Samodzielnie zrobione oświetlenie, paliwem była ropa, która spalając się, strasznie kopcila, stąd nazwa.

z Ojcem dla mnie i dla Mamy był najbardziej radosny i najszczęśliwszy ze wszystkich dni pobytu na zesłaniu.

Od 1942 do 1944 r. wszyscy mieszkali razem na obczyźnie. Zimą 1944 r. do osiedla przywieziono z Kaukazu Czechenów oraz Inguszków zarażonych tyfusem plamistym. Wspólne kolejki po chleb i do stołówek sprzyjały rozpowszechnianiu epidemii. Nie było mydła i żadnych środków higienicznych. Ludzie zaczęli masowo umierać, zwłaszcza zesłańcy, bo mieszkali we wspólnych barakach. W maju tego roku rodzinę Lewickich oraz jeszcze 5 polskich rodzin wywieziono na budowę drugiego toru drogi kolejowej do Karagandy (oddalonej o około 91 km). Tu brakowało wody pitnej, którą dowożono samochodem; bardzo ją oszczędzano. Ponadto chleb, pieczony z jęczmiennej mąki z dodatkiem małej ilości pszennej, dowożono w workach. Bochenki zrzucano z pociągu w czasie jazdy, chleb się rozsypywał i te pozostałe okruchy garściami kładło się na wagę...

Z braku higieny osobistej, normalnego codziennego posiłku i leków, ludzie zaczęli masowo umierać. Zmarłych grzebano w stepie, a chorych wywożono samochodem na rozjazd kolejowy, później pociągiem towarowym. Leokadię, Stanisławę i Jana także wywieziono do Karagandy do szpitala. Tutaj 27 czerwca 1944 r. Leokadia zmarła. Nieoczekiwana śmierć ukochanej matki, wpędziła 11-letniego Jana w rozpacz. Przebywając na obczyźnie, napisał do swojej babci Heleny (od ojca strony) takie oto słowa:

*O, Babciu moja – kochana i droga,
na pewno nie uproszę u Pana Boga.
O, gdybym mógł obok Babci siedzieć
i co przeżyłem – wszystko opowiedzieć.
Gdyby to Babcia wszystko słyszała,
to by na pewno serce bolało.
U mnie z Tatusiem wielka żałoba,
zmarła Mama na tyfus plamisty – to straszna choroba...
I my w tym czasie z Ojcem chorowali.
Bez naszego udziału Mamę pochowali...*

Już w 1941 r. w Akmolińsku⁴ powstała placówka Rządu Polskiego w Londynie w celu wspierania Polaków na zesłaniu w różnych potrzebach. Wacław Lewicki został wybrany przez Wspólnotę Polską w Jesyłu na męża zaufania. Do pomocy zgłosił się pan Bobieni. Z Akmolińska do Jesyła (ok. 450 km)

⁴ Obecnie Astana – stolica Kazachstanu.



Szkoła Polska w Jesylu w Kazachstanie. Trzeci z lewej u góry Jan Aleksander Lewicki. Nauczycielka p. Niezgodzińska, 10.04.1946 r.

należało przywieźć do Wspólnoty Polskiej używane angielskie umundurowania, fasolę, buty, tłuszcz wieprzowy i rozdać między jej członków.

Latem 1942 r. zorganizowano kuchnię dla polskich dzieci. Powstał Związek Harcerzy i Zuchów. Jan Lewicki należał do niego. Po południu – zbiórka i maszerowanie przez osiedle, ze śpiewem pieśni „Maszerują strzelcy”. Ale to trwało tylko jedno lato. Starsi chłopcy na własną rękę uciekali na południe do wojska polskiego – do Andersa. W 1943 r. Jan uczył się w drugiej klasie szkoły rosyjskiej.

Czytać po polsku nauczyła go nauczycielka, pani Szymańska, która mieszkała razem w baraku. Wiosną 1942 r. przyjechał po nią polski oficer, najprawdopodobniej mąż i zabrał ze sobą do Andersa. Podobny los spotkał Stanisławę Załubowską. Zaprzyjaźniła się z pewnym Rosjaninem niemieckiego pochodzenia Genadijam Waulewem i wspólnie wyjechali do Kartaty na Ural – tam uwili swoje gniazdo rodzinne.

W 1944 r. Waław Lewicki został wezwany na placówkę w Akmolińsku, gdzie już urzędowali przedstawiciele Komitetu Wyzwolenia Narodowego na czele z Wandą Wasilewską. Waławowi zaproponowano utworzenie w Jesylu Związku Patriotów Polskich, jednak on odmówił, twierdząc, że uznaje tylko jedyny prawowity Rząd Polski w Londynie. Na pewno to było jedną z przyczyn, że w maju 1946 r. w czasie repatriacji Polaków do Polski zabrakło nazwiska Lewickich na karcie upoważniającej do wyjazdu.

Mężczyzna kilkakrotnie pisał skargę do Akmolińska na placówkę i do Moskwy do ambasady polskiej, ale nie otrzymał żadnej odpowiedzi. To było bardzo smutne przeżycie. W tym właśnie czasie Jan ukończył 4 klasy szkoły polskiej. Jako świadectwo przeżytych chwil powstał kolejny wiersz z dedykacją dla kochanej Babci Heleny Lewickiej⁵:

*Tu taki step daleki – lasu ani śladu. Nawet rzadko rzeki...
Tylko ten Iszym, co na wiosnę po stepie się rozlewa.
Nie ma żadnej zagrody ani owocowego drzewa.
Tylko zimą burany zamiatają, że ludzie do swoich chatup nie trafiają...
O, Babciu, jak ja stęskniłem za Tobą! Tyś po rodzicach pierwszą osobą!
Stęskniłem także za swoim krajem,
Za swoim osiedlem, komodą, gajem...
Gdzie słowiczek wieczorami śpiewał,
Jak byłem malutki i w kolebce drzemał.
I za Szwaksztą jeziorem
Za rzeką Numszą, za sosnowym borem.
I za zielonym, pachnącym sianem.
Za stodołą, na sośnie bocianem.
I za sadzonymi pod oknem kwiatami,
Co swymi zapachami dzieliły się z nami.
I za ojcowskim stęskniłem podwórkiem.
Za Babcią Lewicką, co w modnym kapturku.*

Wacław przez kilka lat pracował jako nocny stróż w zajezdni parowozów, a dzień miał wolny od pracy, więc sporo czasu z synem spędzał na łowieniu ryb w rzece Iszym. Ryby można było wymienić w piekarni na chleb, w mleczarni zaś na odchudzone mleko. Ryb w rzece było dużo, lecz z osiedla do Iszymu wędrowano 5 km, a po karasie i liny – ponad 8 km.

Ustabilizowany tryb życia naruszyło wydarzenie z marca 1947 r., kiedy to Wacława oskarżono o spekulację – sprzedaż gazet w języku polskim „Nowe Widnokreği” i osądzono na karę 10 lat łagrów na Kołymie w obwodzie magadańskim. Jan pojechał do miasta Atbasaru w północnym Kazachstanie na pożegnanie z Ojcem i aby zapytać go, co ma dalej czynić. Ostatecznie zapadła decyzja, że Jan dotrze do sielsowietu (gminy) w Jesyłu

⁵ Babcią Helenę Rodziewicz wraz z dziadkiem Lucjanem Rodziewiczem latem 1941 r. wywieziono do Ałtajskiego Kraju w okolice miejscowości Barnauł, a w 1946 r. deportowano do Polski, dlatego kontakt z nimi był utrudniony i zaginał. Prawdopodobnie Helena Rodziewicz spoczęła na Cmentarzu Bródnowskim w Warszawie, natomiast o pochówku Lucjana Rodziewicza brakuje wiadomości.



Jan Aleksander Lewicki z Ojcem Waclawem na zesłaniu. Na pamiątkę z Jesylu od syna oraz wnuka dla Mamusi i Babci, 14.06.1946 r.

i opowie przewodniczącemu, że na Białorusi we wsi Bojary mieszka jego Babcia Helena Lewicka: samotna, głucha, chora na epilepsję (tutaj celowo skłamał) i potrzebuje stałej opieki. Zadziwiające – przedstawiciel niezwłocznie oderwał z zeszytu okładkę, napisał na niej imię i nazwisko chłopca, wskazał, że jest niepełnoletni i dał pozwolenie na wyjazd do rodzonej babci. Po przedstawieniu tej notatki, Jan miał prawo kupić bilet i wyjechać z Kazachstanu oraz otrzymać miejscówki w czasie przesiadki na inny pociąg. W czerwcu 1947 r. odważny nastolatek wyjechał do miasta Kartały, gdzie mieszkała kuzynka ojca – Stanisława Załubowska, bowiem u niej znalazł przytułek na parę tygodni. Na Uralu panował głód, dlatego na posiłek dzienny otrzymywano jeden płytki talerz kaszy z prosa. Z powodu braku pieniędzy, Jan sprzedał kozuch ojca. Za uzyskaną gotówkę oraz za grosiwo ofiarowane przez ciotkę Stanisławę, kupił bilet o wartości 220 rubli na pociąg do Wilna. Trasa przejazdu wiodła przez miasta Trojak, Czelabińsk i Moskwę. Spełniając życzenie Tatusia, 4 lipca chłopiec wstąpił do Ambasady PL w Moskwie i opowiedział, dlaczego Waclaw Lewicki został osądzony na 10 lat łagrów. Otóż mężczyzna od wielu miesięcy sprzedawał na rynku otrzymane z placówki polskiej w Akmolińsku czasopisma jako papier do pisania, gdyż czystego białego papieru nie było. Pisano na gazetach, lekturach, nawet na książce „Stalinowskie pokolenie”. Jan tłumaczył,

że ojciec nie przyjął obywatelstwa sowieckiego i żadnego przestępstwa nie popełnił. Kobieta, która zaprosiła na rozmowę, obiecała, że będzie starać się o pomoc. Podczas pożegnania zapytała, czy Jan ma coś do zjedzenia. Po otrzymaniu negatywnej odpowiedzi, wydołała z szuflady 200 rubli i dała je Janowi. Współczującego serca nigdy nie da się zapomnieć.

W Moskwie na rynku przy dworcu kolejowym sprzedawano chleb – *kirpiczyk*. Jedna kromka chleba kosztowała 10 rubli. Głodny podrostek kupował po kromeczce, zjadał i kupował następną. Pozostało mu tylko 100 rubli. Noc spędził w poczekalni dworca, ale nie spał, ponieważ nie pozwalano.

5 lipca Jan wyjechał do Wilna. Następnego dnia nad ranem był na miejscu. Jako że miasta nie znał, od dworca nie odchodził. Pociąg z Wilna do Połocka wyruszył 6 lipca. Wagony były przepełnione. Dużo ludzi siedziało na dachach wagonu. Wszyscy jechali do Łyntup i Postaw (obecnie Białoruś) po chleb. Wieczorem – w Łyntupach. Chłodną noc chłopiec spędził przy ognisku. Rano wyjechał do Konstantynowa, następnie szedł 11 km przez las i trafił do Bojar – rodzinnej wioski, gdzie po 7 latach mógł nareszcie objąć najdroższą babunię Helenę. To było i wesołe, i zarazem smutne spotkanie, bo zabrakło Waclawa Lewickiego. Wieśniacy nie uwierzyli, że „taki pędrak” potrafił sam powrócić z Kazachstanu, odległego prawie o 4 tys. km. Mówili, że na pewno ojciec przywiózł go, a sam się ukrywa w lesie. Dopiero gdy Waclaw przysłał z łagru list do matki z zapytaniem, czy syn Jan dojechał – uwierzyli...

5 marca 1953 roku zmarł Józef Stalin. Śmierć ta miała ogromne znaczenie zarówno dla Związku Radzieckiego, jak i całego świata. 27 marca 1953 r. ogłoszono amnestię dla osób więzionych, dlatego Waclaw Lewicki mógł powrócić do rodzinnego domu. Straszny sen zmierzał ku końcowi... ale w ludzkich sercach wyrosły korzenie zadanych ran.

Osoby występujące w opowiadaniu:

Jan Aleksander Lewicki – dziadek autora, dziś żyjący, żonaty z Leonardą Lewicką z domu Siemaszkiewicz, ma dwóch synów: Jana i Roberta (ojciec autora). Należy do Polskiego Uniwersytetu Trzeciego Wieku w Wilnie oraz do Polskiej Sekcji Wileńskiej Wspólnoty Więźniów Politycznych i Zesłańców.

Waclaw Lewicki – pradziadek autora, ojciec Jana Aleksandra Lewickiego.

Leokadia Lewicka – prababcia autora, matka Jana Aleksandra Lewickiego.

Helena Lewicka – praprabacia autora, matka Waclawa Lewickiego.

Helena Rodziewiczowa – praprabacia autora, matka Leokadii Lewickiej.

Stanisława Załubowska – kuzynka Waclawa Lewickiego.

Zwycięska brygada

Urodziłem się już po wojnie a więc nie miałem sposobności, by doświadczyć wszelkich okropieństw, jakie były udziałem tych, którzy przyszli na świat wcześniej. Mój serdeczny przyjaciel Jan Kozakowski urodził się w 1937 roku, w rodzinie ziemiańskiej mieszkającej w okolicach Lidy. Jego ojciec już na początku wojny musiał opuścić rodzinny dom, chroniąc się przed prześladowaniami ze strony NKWD. Ukrywał się i pod zmienionym nazwiskiem walczył w szeregach Armii Krajowej. Dołączył do rodziny dopiero w 1957 roku, już w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, ale przez długi jeszcze czas ukrywał swoją tożsamość. Rosjanie nie pozostawili jego rodziny w spokoju. Zabrali majątek, wyrzucili z domu, a w 1952 roku odnaleźli ukrywających się w Lidzie Kozakowskich – matkę z pięciorgiem dzieci, i wywieźli ich do Kazachstanu. O wywózce, o cierpieniach, jakich doznali i o pewnym epizodzie, który dotyczy załączonego zdjęcia, opowiedział mi Jan – uczestnik tamtych wydarzeń. A oto odtworzony fragment jego relacji:

Ostatniego czerwca 1952 roku mój brat Gustek został aresztowany, a ja miałem zakończenie roku szkolnego. Teraz odbywa się to uroczyste w pełnej gali i bez zajęć szkolnych. Wówczas mieliśmy normalne lekcje, po których rozdano nam świadectwa i puszczono do domu. Wracaliśmy z kolegą Andrzejem ze szkoły, snując plany, co takiego będziemy robili w czasie kanikuły – wakacji, szczęśliwi, że przez okres długich tygodni nie będzie zajęć szkolnych no i że zdaliśmy w końcu do szóstej klasy. W domu rzuciłem w kąt związane sznurkiem książki, zjadłem, co mi mama dała i poszliśmy z Andrzejem kopać piłkę. Nareszcie luz, nie trzeba będzie rano wstawać i iść do szkoły ani odrabiać lekcji. Można hasać do samego wieczora. Kiedy już było tak ciemno, że z trudem dostrzegaliśmy piłkę, wróciliśmy do domu.



Zwycięska brygada kolchozu „Bolszewik”. Siedzący mężczyźni od lewej: Niemiec Kostia i brygadzysta Karaczaj. Stojące kobiety: druga od lewej pani Mickiewicz, trzecia od lewej Zofia Kozakowska. Zdjęcie wykonano w 1956 roku w Kazachstanie.

Coś tam zjadłem i zmęczony smacznie zasnąłem. Zdawało mi się, że śpię tylko krótką chwilę, gdy nagle zbudziły mnie głośnie hałasy. Pod naszymi drzwiami stało trzech cywilów i waliło w nie kolbami trzymanyh w rękach pepesz. Mama otworzyła im, a oni z groźnymi minami wtargnęli do mieszkania. Pierwsze słowa, które usłyszałem, brzmiały: *za diesiat' minut wsie na maszinie* – za dziesięć minut wszyscy w samochodzie. A więc stało się, wszystkie moje plany wakacyjne odrunęły w nicość. Zresztą, jakie one miały teraz znaczenie? Okrutny, zwierzęcy strach ścisnął mi gardło. Ten ucisk zapamiętam do końca życia. Stałem jak odrętwiaty i dopiero drżący głos mamy wyzwolił we mnie wolę działania. *Dzieci, ubierajcie się ciepło* – mama miotła się po całym mieszkaniu, zbierając w koce co jej się nawinęło pod rękę, przede wszystkim żywność i ubrania. Niewiele tego było, byliśmy zupełnie nieprzygotowani do wyjazdu. Nawet to, że Gustek nie wrócił na noc do domu, nie wzbudziło aż tak strasznych podejrzeń. Chwytałem te napełnione różnymi przedmiotami koce, wiązałem je i nosiłem na ciężarówkę stojącą na podwórzu, poganiany wrzaskami naszych ciemiężców. *Skoriej, skoriej* – szybciej, szybciej. Moja siostra Marysia zanosila się łzami. Ja z trudem je wstrzymywałem. Pozwolę sobie na nie już na samochodzie – pomyślałem. Teraz nie ma czasu, trzeba pomagać mamie. Nie wiadomo, ile jeszcze będą oni tacy „cierpliwi”. Przypomniałem

sobie o książkach. Chwyciłem pakunek, który wczoraj rzuciłem w kąt, jeszcze jakieś inne książki i położyłem na koc. Kręciłem się jak oszalały, starając się, by niczego ważnego nie zapomnieć, gdy nagle usłyszałem tuż nad uchem głośny wrzask: *chwatit, chwatit, wychaditie* – starczy, starczy, wychodźcie. Przestraszyłem się, że nie zdążę związać ostatniego koca, chwyciłem tylko jego rogi i wybiegłem z nim na dwór. Zobaczyłem jeszcze, że mama zdejmuje ze ściany obraz Matki Boskiej Nieustającej Pomocy, co żołdak skwitował ironicznym uśmiechem, i bierze za rękę Marysię. W ciągu niecałych dziesięciu minut byliśmy na skrzyni ciężarówce. Teraz dopiero mogłem dać upust łzom. Nie chciałem płakać, ale to było silniejsze ode mnie. Przez cały czas czułem ucisk w gardle i w sercu. Będzie mi on towarzyszył przez kilka najbliższych lat. Już oni zadbają o to, bym się od niego nie uwolnił. Na podwórku stała cała rodzina Wańskich, żegnając nas na drogę. *Nie pokazuj wrogowi łez* – krzyknął do mnie po polsku Andrzej. Bardzo chciałem, ale to było ponad moje siły. Musiałem ich wylać na raz bardzo dużo, by się w końcu wyczerpały.

Jechaliśmy całą rodziną. Nawet mojego najstarszego brata Zygmunta zabrali od młodej żony i dołączyli do nas. Brakowało jedynie taty. Konwojowało nas dwóch *krasnopagonnikow* – żołnierzy z czerwonymi pagonami na ramionach i czerwonymi otokami na czapkach. Niespecjalnie przejmowali się swoją rolą, ponieważ obydwaj siedzieli w szoferce a my oczywiście na skrzyni ładunkowej, chłonąc oczami ostatnie widoki znajomych ulic i placów. Siedzieliśmy, nic do siebie mówiąc, bo co tu mówić w takich okolicznościach? Jedyne moje siostry cicho pochlipywały, spoglądając to na mamę, to na braci. Gula, która stała mi w gardle tuż po aresztowaniu, rosła wraz z każdym przejechanym metrem zbliżającym nas do stacji kolejowej. Na szczęście podróż nie trwała długo. Był to zresztą ostatni etap naszej jazdy, który można nazwać podróżą. Kolejny a zarazem kończący ją etap określić można jedynie mianem gehenny.

Tylko dobroci serca zupełnie nam nieznanych i do końca pozostających anonimowymi ludzi możemy zawdzięczać, że dojechaliśmy do miejsca przeznaczenia żywi. Ale po kolei. Samochód podjechał pod same drzwi wagonu. Żołnierze otworzyli je z hałasem i wrzaskami: *skoriej, skoriej* poganiali, byśmy co prędzej wdrapywali się do środka. Nie dla wszystkich była to łatwa sprawa, ponieważ drzwi te znajdowały się około półtora metra nad ziemią. Gustek podszedł do pierwszego z brzegu żołnierza i pokazał mu list pochwalny, który dostał z NKWD za uratowanie życia rannej Poliny, sekretarz sielsowietu z Pomiedzi – *Wy nas tak traktujecie, a my ratujemy*

życie waszym ludziom! Ten spojrział na ten dokument, podarł go, rzucił pod nogi i pogroził Gustkowi kolbą od karabinu, by nie zawracał mu głowy takimi bzdurami. Wskoczyłem do wagonu jako pierwszy i cofnął mnie zaduch bijący z jego wnętrza. Wagon wypełniony był szczelnie ludźmi (norma na jeden *tielatnik* – wagon dla cieląt, wynosiła 50 osób), którzy z pewnością musieli tam już czekać dłuższy czas. Jakież ja byłem naiwny! Zaduch to dopiero na nas czekał, kiedy przy zamkniętych drzwiach, podczas postoju na stacjach „biło” w niczym nieosłonięty dach palące słońce. To jednak dosyć daleka przyszłość. Nasi towarzysze niedoli odsunęli się jak mogli od drzwi, robiąc nieco luzu, bracia wrzucali tam nasze rzeczy, a ja odstawiałem je dalej, robiąc miejsce na następne. Powsadzali obie nasze siostry, pomogli wejść mamie i w tym momencie drzwi wagonu zatrzasnęły się z łoskotem. Nie było czasu nawet przez chwilę pomyśleć, co się dzieje a już było po wszystkim. Ogarnął mnie półmrok. Dopiero po chwili oczy przyzwyczyły się do niego i z boków wagonu ujrzałem rzędy pryczy, a pod samym sufitem małe, zakratowane okienko. Po chwili leżałem już na najwyższej pryczy, spoglądając przez nie na to, co dzieje się na zewnątrz. A działo się wiele. Cały pociąg obstawiony był żołdatami, którzy, grożąc karabinami, nie dopuszczali do niego tłumu ludzi znajdującego się na stacji oraz między torami. Byli to ci wszyscy, którzy przyszli żegnać swoich najbliższych czy znajomych. Musieli stać w odległości co najmniej 100 m od pociągu, aby nie można się było porozumieć. Pośród osób stojących między torami zauważyłem naszego wujka, Jana Lubiańca. Zebrał, ile mógł ciepłych ubrań, zgromadził żywność i nie żałował koni, by zdążyć przed odjazdem pociągu. Niestety, jego działania okazały się bezowocne. Widział nasz przyjazd, wystarczyło dwie minuty, by podać to, co przywiózł, ale mu nie pozwolono. Stał więc i patrzył bezsilnie na szczelnie zamknięte drzwi wagonu, do którego nas zamknęto. Po chwili zobaczyłem też swojego kolegę z klasy, Zygmunta Kowalewskiego – „Cyklopa”. Widział moją twarz w okienku i usilnie starał się coś mi przekazać, dając jakieś znaki. Niestety, nie mogłem zrozumieć o co mu chodzi, chociaż wlał mi w serce nieco otuchy. Zygmunt miał trzech braci. Wszyscy byli żołnierzami AK. Z pewnością nie pozwolą, by nas tak wywieźli jak bydło. Zaraz odbiją pociąg i znowu będziemy wolni. Uczępiłem się tej myśli jak ostatniej deski ratunku i zrobiło mi się nieco lżej na duszy. Musiałem mieć naprawdę nieszczęśliwą minę, bo nasz Zygmunt, popatrzywszy na mnie, powiedział: *nareszcie nie będziemy musieli się ukrywać i jesteśmy razem*. Pocieszał nas wszystkich, a przecież to jemu z całej naszej szóstki było najciężej. To on zostawił swoją rodzinę, swoją ukochaną żonę

i wyjeżdżał na tułaczkę po syberyjskich – jak się domyślaliśmy – tajgach. Będą go tam traktować jak psa i jak psa zastrzelą, gdy naruszy wyznaczone przez oprawców reguły. Był jednak najstarszy z całej naszej piątki i czuł się za nas odpowiedzialny, w pewnym sensie zastępował nam tatę, o którym nie wiedzieliśmy czy w ogóle żyje a jeżeli tak, to gdzie się znajduje? Konspiracja wykluczała jakikolwiek kontakt. Patrzyłem przez to swoje okienko i żegnałem się z tym, co zostawiałem, co kochałem, co było treścią mojego dotychczasowego życia. Żadne słowa otuchy, nawet najbardziej szczere, płynące od kochanej osoby nie mogły przywrócić spokoju ducha. Chłonałem całym sobą znajome widoki, starając się zapamiętać jak najwięcej. Musiało to mi wystarczyć na długo. Wbrew wszelkiej logice chciałem, by pociąg już ruszył i żeby ta zsyłka już się zaczęła. Może się prędzej skończy? Jakby na moje życzenie, lokomotywa szarpnęła wagonami i ruszyliśmy do przodu, powoli nabierając pędu. Nagle pociąg gwałtownie stanął, zderzając się wagonami. Serce podskoczyło mi z wrażenia. Nic, tylko bracia Zygmunta przyjechali nas odbić. To z pewnością oni, bo oto drzwi wagonu gwałtownie się otworzyły. Niestety. Naszym oczom ukazał się wojskowy gazik. W nim czterech żołnierzy NKWD i jeden młodzieńcy marynarz *Wojennej Morskiej Floty*. Jeden z żołnierzy zerwał marynarzowi z głowy czapkę i wyrwał z niej czerwoną gwiazdę a drugi zabrał mu pas. Następnie czapkę i samego marynarza wrzucili do środka wagonu. Teraz drzwi zatrzasnęły się już na dobre. Okazało się, że tym marynarzem był Michał Kurowski, elew szkoły podoficerskiej w Kłajpedzie, a w środku naszego wagonu znajdowała się jego rodzina, czyli rodzice i dwie młodsze siostry. Był niegodnym służenia w Armii Czerwonej, podczas gdy jego najbliżsi zostali skazani na katorgę. Kiedy już „załadowano” Michała, pociąg ruszył na dobre. Mijaliśmy właśnie wysoki nasyp kolejowy, jakże dobrze mi znany z ostatniej zimy, kiedy zjeżdżałem po nim na nartach, gdy w naszym wagonie, a myślę, że i w całym pociągu, rozległ się rozpaczliwy krzyk a potem płacz. Płakali wszyscy: dzieci, kobiety a także potężnie zbudowani, budzący respekt swoim wyglądem mężczyźni. Trwało to dłuższy czas, po czym głośny lament zaczął zmieniać się stopniowo w cichy szloch, a ponad niego wybił się spokojny głos naszej mamy: *Wierzę w Boga Ojca Wszechmogącego, stwózcę nieba i ziemi, i w Jezusa Chrystusa, Syna Jego Jedynego, Pana naszego, który się poczył z Ducha Świętego.*

Płacz ucichł, ludzie zaczęli przyłączać się do modlitwy różańcowej rozpoczętej przez mamę i po chwili wszyscy już odmawiali ją zgodnym chórem. Polecali Panu Bogu swoją rozpacz, swoje porzucone domy i rodziny, swój

strach przed nieznanym okrutnym krajem, który zbliżał się wraz z każdym obrotem kół wagonów i oddawali się Jego opiece. Takie zachowanie nie było niczym dziwnym. Wywózki trwały już przecież od 1936 roku i nikt ze znanych dorosłym z naszego wagonu wywiezionych, jeszcze z zesłania nie wrócił. Byli więc przygotowani na najgorsze. W pewnej chwili wydawało mi się, że oto modlitwa nasza została wysłuchana. Pociąg ponownie zaczął zwalniać. To pewnie partyzanci go zatrzymują, przemknęło mi przez myśl i rzuciłem się do okienka. Czekał mnie jednak kolejny zawód. Żadnych partyzantów, żadnych strzałów ani krzyków. Lokomotywa ledwie sapała, wciągając pełen skład na wysokie wzniesienie, a po osiągnięciu szczytu znowu ruszyła pełną parą. Cofnąłem się od okienka i wtuliłem głowę w służącą mi za poduszkę kurtkę.

Po miesiącu jazdy dotarliśmy na miejsce przeznaczenia. Okazał się nim kołchoz „Bolszewik” znajdujący się w Kazachstanie. Rejon Kirowsk, *obłast* Južno Kazachstański. Kołchoz specjalizował się w uprawie bawełny. Już na drugi dzień po przyjeździe wszystkich nas – oprócz mamy i najmłodszej Marysi – zagoniono do pracy w polu. Z czasem bracia i ja poszukaliśmy sobie innych zajęć. Nasza siostra Zosia uprawiała bawełnę aż do dnia wyjazdu, to jest do września 1956 roku. Pracowała najciężej z nas wszystkich. Przez cały okres pobytu w „Bolszewiku” znajdowała się w brygadzie, gdzie zatrudniono same kobiety różnych narodowości: Kazaszki, Czeczenki, Niemki, Rosjanki, Polki i inne. Podstawowym narzędziem jej pracy był nieodłączny *kietmien*, czyli wielka motyka przypominająca zakrzywioną łopatę, chyba że sezonowo potrzebne były też krótka kosa lub widły. W zasadzie wszystko kręciło się wokół bawełny. W miesiącach zimowych traktory orały i bronowały pole. Wczesną wiosną następowały wysiewy ziaren bawełny i po paru dniach wschodziły cienkie, zielone łodyżki. Wówczas zaczynał się pierwszy etap jej pielęgnacji. Należało wyciąć zbędne roślinki, zostawiając odpowiednie odległości pomiędzy poszczególnymi krzakami. Na nieszczęście, wraz z bawełną rosły też lebioda i inne zielsko. Kilkakrotnie więc w okresie wzrostu należało oczyścić plantację i tak w kółko aż do pierwszych zbiorów. Zielsko rosło, a one je niszczyły. Praca odbywała się w systemie dniówek zadaniowych. Aby zarobić dniówkę, trzeba było oczyścić dwadzieścia pięć *sotek*, czyli arów pola. Nie było to sprawą prostą dla młodej, zagłodzonej dziewczyny. Z pomocą przychodziły jej koleżanki. Kiedy kończyły swój rząddek, brały się za ten obrabiany przez Zosię, która zostawała daleko w tyle za nimi. Była to podziwu godna solidarność grupy kobiet różnych narodowości, które przecież same były bardzo zmęczone

i niedożywione. Brygadzista wydzielał każdej kawałek pola do oczyszczenia i pokazywał tym nowym, jak mają to robić, ale one robiły po swojemu. Całą pracę wykonywały razem, pracując jedna przy drugiej. Tak było w czasie przycinania zbędnych roślin i pielenia chwastów. Kiedy następował pierwszy zbiór kwiatów bawełny, solidarność kończyła się. Każda zakładała sobie na kark wielki worek i „obsługiwała” dwa rzędy po lewej i prawej stronie. Wówczas kobiety dawały z siebie wszystko, do całkowitego wyczerpania sił. Przyczyna tego była prosta. Każdy był tu bardzo ubogi, a więcej zebranej bawełny, to większy zarobek, to więcej jedzenia czy też możliwość kupienia butów lub ubrania dla dzieci. Zbiory bawełny to był jednocześnie okres, kiedy należało nanosić jej jak najwięcej do domu. Niby nie wolno było tego robić, ale nikt się tym nie przejmował i nikt nie pilnował. Bawełna miała wiele zastosowań: od zrobienia poduszki po papier toaletowy włącznie. Brygadzystą Zosi był Karaczaj, pochodzący z republiki Karaczajo Czerkieskie, leżącej na północy Kazachstanu. Jeździł na wielkim chudym koniu i był bardzo wymagający w stosunku do kobiet ze swojej brygady. Kiedyś zrobiły sobie one nieplanowaną przerwę w pracy. Czechenki pilnie obserwowały, czy przypadkiem nie nadjeżdża i kiedy pojawił się na horyzoncie, rzuciły się do pielenia. Jedynie Polki i Niemki robiły to bardzo opieszale. Podjechał do nich wściekły i zamachnął się pejczem, którym poganiał konia, na stojącą najbliżej Zosię. Tego było za wiele. Potworne zmęczenie, rozżalenie i złość wzięły górę. Zosia chwyciła *kietmien* i walnęła nim Karaczaja. Zdążył się jednak uchylić i ucierpiał na tym nic niewinny koń, który zarobił cios zamiast swojego pana. Brygadzista był tak zszokowany, że bez słowa zawrócił konia i odjechał. Nie mniej zszokowane były pozostałe kobiety, oczywiście tylko Azjatki. W ich pojęciu nie mieściło się, że można uderzyć mężczyznę, jaki by on nie był. Prosiły Zosię, by nigdy już tego nie robiła i prośba ich została spełniona. Nie dlatego, że nagle przestraszyła się brygadzisty, ale dlatego, że zaczął traktować ją z większym szacunkiem. Dla niego byłby to wielki afront, gdyby zarobił w łeb od kobiety. Inni mężczyźni w kołchozie zaczęliby traktować go z pogardą, więc wołał nie prowokować już takich sytuacji.

Do pracy w polu nikt brygady kobiet nie woził, musiały tam dojść piechotą. Na szczęście nie było to bardzo daleko, ponieważ pola bawełny rozciągały się wokół kołchozu. Niemniej jednak po całym dniu ciężkiej pracy pokonanie nawet tych kilku kilometrów stawało się wysiłkiem. Najgorsze dla Zosi były pierwsze miesiące, kiedy krzaki bawełny otaczał istny busz zielska. Później nabrała już wprawy i nikt nie musiał jej pomagać. W czasie największego upału, czyli o godzinie dwunastej w południe, brygada

schodziła z pola. Wszystkie chroniły się wówczas w swojej *polewej stancji* – bazie wypoczynkowej, stojącej na środku plantacji. Jadły dostarczoną im *lepioskę*, piły herbatę i kładły się na ziemi, by nabrać nieco sił do ponownej pracy, która trwała aż do zachodu słońca. Nie było problemu z powrotem, bo noce w Kazachstanie są bardzo widne. Wieczoru w naszym rozumieniu praktycznie nie ma. Jest dzień i zaraz po nim robi się noc. Wspomnę jeszcze, że oprócz pielienia bawełny „obsypuje” się ją wzdłuż i w poprzek rzędów tak, jak u nas ziemniaki. Robili to oczywiście traktorzyści specjalnymi radełkami. Zdarzało się, że na pole przyjeżdżał wtedy Franek Kondrat, z którym Zosia się przyjaźniła. Stali na polu i rozmawiali, siejąc zgorszenie wśród kazachskich kobiet, dla których takie zachowanie było czymś gorszącym. Nie przypuszczały z pewnością, że po powrocie do Polski Zosia i Franek zostaną małżeństwem, chociaż i tak w niczym by to ich nie usprawiedliwiło. Franek był chyba jedynym człowiekiem, który po przyjeździe do kołchozu wyzdrowiał, przynajmniej na tyle, by mógł normalnie chodzić. Jeszcze przed zesłaniem do Kazachstanu, powołano go do odbycia przygotowania wojskowego, które polegało głównie na ćwiczeniu musztry i ganiu młodych ludzi po lasach. Na nieszczęście zimą. Oficer, który prowadził zajęcia, wysłał przyszłych rekrutów w rejon nigdy niezamarzających bagien i kazał im się czołgać, co nie było niczym nadzwyczajnym w tym czasie. Frontowy oficer chciał w ten sposób przygotować przyszłych żołnierzy do różnych warunków na polu walki. Chłopcy mieli przemoczone ubrania a temperatura powietrza wynosiła minus kilkanaście stopni Celsjusza. Franek tak przeziębził stawy, że wytworzyło się jakieś zapalenie i wdał się niedowład nóg. Lekarze byli bezradni, ale pomogli mu politycy, wysyłając na zsyłkę. W gorącym klimacie nogi zaczęły zdrowieć, ale do pełnej sprawności nie wrócił nigdy. Przez całe życie dokuczał mu też żołądek, który przyspieszył rozstanie się Franka z tym światem. Doczekał się jednak wolnej od komunizmu Polski. Te spotkania nie wpływały jednak na stosunki Zosi z jej kazachskimi koleżankami, nadal były pomocne i serdeczne.

Aby móc przetrwać cały dzień na polu, Zosia musiała nauczyć się pewnych podstawowych zasad dotyczących ubioru i zachowania. Przede wszystkim należało mieć odpowiednio zawiązaną chustkę, odpowiedni ubiór, aby zatrzymać na ciele jak najwięcej potu oraz w odpowiedni sposób pić. Pić na polu chce się zawsze. Problem w tym, by robić to często i po troszeczkę a nie od razu dużo. Dużo płynu na raz w organizmie w palącym słońcu, oznaczało bowiem gwałtowne pocenie się a w konsekwencji odsolenie organizmu, przy czym braku soli nie było czym uzupełnić. Praca w polu trwała

przez cały rok. Nie było takich sytuacji, że następowała jakaś przerwa. Po zbiorach bawełny, kobiety wycinały krótkimi kosami jej niepotrzebne już krzewy, składowały je na sterty i ładowały na wielkie przyczepy. Służyły one, wraz z cierniami wycinanymi na stepie, do palenia w suszarni. Zosia przychodziła do domu najbardziej zmęczona z nas wszystkich, ale nie zawsze oznaczało to, że zje cokolwiek i położy się na odpoczynek. Szczególnie gdy braci nie było w domu, a ja mieszkalem już w internacie, pomagała mamie w naszym domowym gospodarstwie. Zimą był zawsze problem z wodą. Nie dlatego, że jej nie było, ale że trzeba było ją nosić z bardzo daleka. Zimą bowiem Kanał Kirowski był pusty. W tym czasie na całym jego odcinku trwały prace remontowe. Zasypanywano dziury wytworzone przez wiry wodne, umacniano wały i konserwowano śluzy. Trwało to aż do marca, kiedy znowu puszczano wodę i zaczynało podlewać pola. Po zamknięciu kanału pozostawała woda w *arykach*, czyli bocznych, wąskich kanałach, na szczęście nie wsiąkała w ziemię, bardzo w Kazachstanie drobną a zarazem spójną. Nie ma tam takich ziarenek piasku jak u nas, które przepuszczają wilgoć, jest on drobny niczym puder. Najpierw brało się ją z tych aryków bliżej domu, ale po wyczerpaniu zasobów trzeba było chodzić dalej i dalej. Przed ponownym uruchomieniem kanału to nawet z półtora kilometra. Bardzo wówczas przydawały się *koromysła*. Jak niesie się wiadra wody, trzymając je rękami za pałaki, to już po kilkudziesięciu metrach ramiona drętwieją z wysiłku i trzeba stanąć, aby odpocząć. Im bliżej domu, tym przystanki muszą być częstsze, bowiem dochodzi zmęczenie. Po takich dwóch wyprawach po wodę Zosia była już tak zmęczona, że nawet nie chciała nic jeść, tylko piła i szła spać. Pomimo tak ciężkiej pracy, potrafiła jeszcze myśleć o Marysi i o mnie. Kiedyś, wiedząc, że nie mogę jeść melonów, przyniosła z pola *kawon*, czyli arbuza, który dostała od jakiejś kazachskiej kobiety. Sama nie zjadła, choć stale chodziła głodna, tylko dała go mnie. Co najważniejsze, przez cały okres pobytu w „Bolszewiku” ani razu nie zachorowała. Ciężkie warunki życia z pewnością odbiły się na zdrowiu nas wszystkich, ale, oprócz choroby mojej i Marysi malarii, nikt z rodziny poważnie nie zachorował.

Brygada Zosi zajęła w 1956 roku pierwsze miejsce we współzawodnictwie pracy pomiędzy wszystkimi brygadami kołchozu „Bolszewik”. Przewodniczący pogratulował kobietom oraz brygadziście obywatelskiej postawy i zaangażowania w budowę socjalistycznej gospodarki oraz wydał zarządzenie, by w dniu jutrzejszym wszystkie zjawiły się na polu ubrane w swoje najładniejsze stroje. Oczywiście zrobiły, jak polecił i, machając

kietmienami, czekały na dalszy rozwój wypadków. Nie musiały długo czekać. Oczom ich ukazał się brygadzysta trzymający w ręku wielki czerwony sztandar. Wraz z dwoma innymi jeźdźcami podążał w ich kierunku. Okazało się, że przyjechał fotograf, by uwiecznić przodującą brygadę w miejscu jej pracy. Brygadzysta wbił w ziemię drzewce sztandaru a fotograf wybrał tło – wierzby otaczające kanał nawadniający. Brygadzysta wraz z Niemcem Kostią, również odświętnie ubrani, kucnęli przed szeregiem stojących kobiet i „wiekopomna” chwila została uwieczniona. Po kilku dniach każda kobieta dostała malutką fotografię, którą Zosia ma do dnia dzisiejszego. Na dłuższe świętowanie nie było czasu.

Wiara w sercu moim

Grubby stary album do zdjęć przełożony pergaminem... Jakie tajemnice są w nim ukryte? Kim są ci ludzie, tacy radośni i tacy smutni, poważni i dobrodusznymi? Jak się ułożyło ich życie? Czy byli szczęśliwi? Przez co musieli przejść i co przeżyć?

Kiedy przegląda się strony albumu, niesamowite uczucia ogarniają człowieka. Jest to spotkanie z ludźmi mającymi bogate doświadczenie życiowe, z ludźmi, którzy przeżyli nieznanane nam, a przez to jeszcze bardziej zagadkowe życie.

Dwadzieścia zdjęć – dwadzieścia losów, szczęśliwych i nie bardzo, tragicznych i smutnych. Im należą się pamięć i cześć.

Oto jedno z nich.

Czarno-białe zdjęcie z starannie wyciętymi krańcami. A na nim młody człowiek w sutannie, siedzący w krześle o wysokim rzeźbionym oparciu. W ręku trzyma modlitewnik. Wysoko uniesiona głowa, spokojny i zrównoważony, o nieco smutnym spojrzeniu... O czym myśli ten młody człowiek? Być może wspomina swój dom rodzinny, matkę, która wychowała go w wierze, nauczyła kochać ludzi i zawsze spieszyć im z pomocą, a sama w wyniku ciężkiej choroby tak wcześnie odeszła do wieczności? A może on myśli o tym, co czeka go w przyszłości, jak dużo przyjdzie mu jeszcze dokonać w swojej parafii?

Nasz bohater jeszcze nie wie, jaką próbę przygotował mu los.

Młody człowiek ze zdjęcia to ksiądz Józef Maciejewski, proboszcz parafii w Zaniewiczach, który całe życie poświęcił służbie Bogu i ludziom.

Urodził się w 1909 r. we wsi Maciejewicze jako najstarsze dziecko Stefana i Pauliny Maciejewskich. Religijnym wychowaniem w rodzinie zajmowała się matka. Józef od dzieciństwa wyróżniał się pracowitością i pobożnością.



Ks. Józef Maciejewski, 1939 rok, Zaniewicze

W roku 1929 dostał się do seminarium duchownego w Wilnie, a w 1939 r. został proboszczem parafii w Zaniewiczach. Młody ksiądz z ogromnym zapałem wziął się do pracy: spowiadał, uczył dzieci, pomagał kapłanom z innych parafii.

W 1941 r. zamiast okupacji sowieckiej przyszła okupacja niemiecka. Był to szczególny okres w historii parafialnego kościoła. W dni powszednie istniał zakaz gromadzenia się w świątyni, jedynie w niedziele i święta po uzgodnieniu w komendzie w Indurze można było odprawiać Mszę św. i uczestniczyć w liturgii.

Nadszedł rok 1944. Wróciła armia sowiecka i znowu zaczęły się prześladowania. Ludzie pamiętają ks. Maciejewskiego jako obrońcę wiary i kościoła. Ksiądz głosił homilie, wspierał ludzi, wzywał do modlitwy w intencji bolszewików o ich opamiętanie się i sprawiedliwość.

Kościół w Zaniewiczach zawsze był czynny. Nigdy nie służył za magazyn lub klub dzięki ks. Józefowi Maciejewskiemu i wiernym, którzy dniem i nocą pilnowali swojej świątyni. Kołchoz przywłaszczył sobie wszystko: zabudowania gospodarcze, narzędzia, konfiskowano konie, krowy. Ludziom odbierano ziemię, pozostawiono jedynie cmentarz i nieduży plac przed kościołem. Ta mała parafia nie była w stanie przeciwstawić się agresorowi, który niszczył wszystko, co miało związek z Bogiem.



Listy ze stalinowskich obozów

Форма 119

Отправлен 18/VIII 50 Вами Посылка
из п/п Квасовка за № 158
с объявленной ценностью на 100 Р. — к.
с наложенным платежом на _____ Р. — к.
по адресу Казахская ССР
Гор Караганда П/Я 392/2
на имя Матеевский Иосиф Станиславович
Вручен 29/VIII 1947 г. Иосиф Иосифович
по доверенности

Начальник предприятия (лодзь)
Почтовый работник (лодзь)
Штемпель времени вручения
Штемпель времени получения

КАРАГАНДА
КАРАГАНДА
КАРАГАНДА

М Е С Я Ц Д Н И К Л Е Т Я

Pokwitowanie o wysłanej paczce, 1950 r.

20 sierpnia 1947 r. ks. Maciejewski został aresztowany z powodów politycznych. Proces odbył się 24 grudnia 1947 r. za zamkniętymi drzwiami. Wyrok – 10 lat ciężkich robót za działalność agitacyjną. Ludzie zbierali podpisy, wnosili apelację, mając nadzieję na zmniejszenie wyroku. Zebrano 700 podpisów, lecz wyrok kolejnego procesu był jeszcze bardziej surowy – 25 lat pozbawienia wolności. Postarali się fałszywi świadkowie. Jeden z nich, wychodząc z sali sądowej, uśmiechając się, powiedział: *Utopięm go na 25 lat!* Za kilka lat człowiek ów utonął w rzece Swistocz. Inny oskarżyciel pokazywał ks. Maciejewskiemu „figi” w sali sądowej. Po jakimś czasie podczas pracy w kołchozie stracił on rękę. Być może był to zbieg okoliczności, lecz ludzie widzieli w nim znak Bożej sprawiedliwości.

Odtąd zaczęły się tułaczki po więzieniach i obozach. Z grodzieńskiego więzienia ks. Maciejewski został wysłany do Pietropawłowska, a stamtąd do Krasnojarska. Klimat tam był bardzo surowy, mróz silny, ludzie umierali z głodu i chłodu. Ks. Józef się jednak nie poddawał, był wierny powołaniu, któremu poświęcił całe swoje życie. Wiernie kontynuował służbę Bogu i ludziom. Potajemnie odprawiał Mszę św., spowiadał, podtrzymywał wiarę w Boga i Boską Opatrzność. Za prowadzoną działalność wysłano go jeszcze dalej – do Karagandy. Tam czekała na niego ciężka praca w kamieniołomach. Uświadamiając sobie, że gorzej już być nie może, ks. Maciejewski przestał

się ukrywać i otwarcie kontynuował swoją działalność jako kaznodzieja i kapłan: nauczał, udzielał Komunii św., chrzczył i spowiadał.

Tymczasem ludzie w zaścianku Zaniewicze nie zapominali o swoim duszpasterzu. Jeden raz w miesiącu całą okolicą zbierali paczkę: słoninę, kasze, witaminy, pieniądze. I pisali listy, wysyłając słowa wsparcia, wdzięczności za siłę ducha i modlitwę, a w ciągu tych 8 lat czekali i wierzyli, że ksiądz wróci.

W naszej rodzinie zachowały się listy ks. Maciejewskiego z tych dalekich miejsc. W swoich listach ks. Józef dziękował wszystkim za pomoc, za paczki i pieniądze, pisał, że to dodaje mu, i wszystkim, kto jest obok, sił do przeżycia tych trudnych czasów. Wspominał też, że w swoich modlitwach prosi Boga o swoich parafian – pamiętał ich każdego po imieniu.

List ks. Józefa Maciejewskiego:

16.I.1953 r.

Kochani moi!

Przepraszam, że tak dawno do Was nie pisałem tylko dlatego, że nie mogłem tego uczynić. Prawda, oprócz listu od 20.VI.1952 r. napisałem jeszcze list 8.IX, lecz nie wiem, czy go otrzymaliście. Od was otrzymałem bardzo dużo listów, za które z całego serca najserdeczniej dziękuję. Dziękuję również za pamięć, która mnie wspiera i pomaga żyć już tyle lat, a wraz ze mną żyją również inni, moi bliscy. W ich imieniu, mimo iż są Wam nieznani, również ślę serdeczne podziękowania za Wasze dobre serca, za to, iż odejmując sobie, pomagacie innym, którzy niczym nie mogą Wam się odwdziżyć oprócz słów, a te słowa także rzadko do Was docierają...

Staram się pomóc Wam chociażby modlitwą i nieustannie mam Was w swojej pamięci, serce moje i marzenia moje zawsze są z Wami.

Proszę się o mnie nie martwić. Wspieram siebie na tyle, na ile jest to możliwe – i fizycznie, i duchowo.

Proszę o przekazanie jeden drugiemu mojego listu i serdeczne pozdrowienia. Oddaję Was wszystkim w opiekę Pana Boga.

Na zawsze Wasz, Józef Maciejewski

Te słowa z listu ks. Józefa Maciejewskiego z dalekiego 1953 roku grzeją nasze dusze i dodają nadziei.

Po śmierci Stalina, w 1955 r. ks. Józef Maciejewski wrócił do swojej parafii. Tam pełnił posługę całe swoje życie: chrzczył dzieci, udzielał sakramentu małżeństwa, grzebał umarłych, uczył ludzi by nigdy nie tracić wiary w Boga.

W ciągu tych wszystkich 29 lat ksiądz Maciejewski każdego dnia przez pola i łąki, w deszcz i upał niestrudzenie podążał do swojego kościoła na spotkanie z Panem Bogiem.

25 kwietnia 1984 r. odszedł do wieczności. Pochowany został w Ejsmontach Wielkich. Na znak wdzięczności za pracę, posługę kapłańską i wierną służbę Bogu i ludziom parafianie na cmentarzu przy kościele postawili swemu wiernemu Pasterzowi pomnik.

Kilka zdjęć ilustruje całe życie pełne szczęścia i cierpienia, miłości do ludzi, służby Bogu, wiary i nadziei na lepsze jutro. Te zdjęcia przeżyły czas próby i wciąż nie przestają dawać poczucia nadziei, bronić nas, dodawać wiary w to, że wbrew wszystkiemu człowiek potrafi pokonać wszelkie trudności.

Stare zdjęcia to nie tylko pamięć, to nasza historia. Przechowują one wyjątkową wiedzę z przeszłości, to nasz związek z poprzednim pokoleniem.

Stare zdjęcia są fundamentem, na którym budowane jest nasze życie i życie tych, którzy przyjdą po nas.



Pomnik ufundowany ks. J. Maciejewskiemu od wdzięcznych parafian

Wiktoria Becla
z Bolesławca
Gimnazjum Samorządowe nr 2
im. Polaków Zesłanych na Sybir w Bolesławcu

Halinko, nie martw się, damy sobie radę

Fotografia wykonana na Syberii jest jedną z najcenniejszych pamiątek pani Marii Niemczuk – Sybiraczki od wielu lat zaprzyjaźnionej z Gimnazjum im. Polaków Zesłanych na Sybir w Bolesławcu. Ta historia powstała dzięki rozmowie z nią.



Noszące wyraźne ślady zagniecenia zdjęcie zostało wykonane dla celów paszportowych w 1943 r. w mieście powiatowym Toguł. Przedstawia siostrę pani Marii, Halinę Budziszewską. Wtedy młodą, bardzo ładną szesnastoletnią dziewczynę. Widać jej pociągniętą twarz, gładko zaczesane włosy związane w dwa warkoczki oraz pełne smutku i zadumy oczy. Nie ma w nich pogody ducha i bez troski, ale strach. O czymś myśli, nad czymś się zastanawia, coś wyraźnie ją niepokoi.

Trzymając w drżących dłoniach tę szczególną fotografię, pani Maria ze łzami w oczach wyznaje: *Na tym zdjęciu widzę*

pełne smutku oczy, są wprost przerażone. Halina patrzy przed siebie, jakby czuła, że coś złego nas spotka. Przebywaliśmy już wtedy na Syberii. Trafiliśmy tu z mamą i rodzeństwem: Kazikiem, Olkiem, Haliną, Ziotkiem, Tonikiem i Jankiem. Było nas siedmioro. Nastąpił jednak taki moment, że trzeba było się pożegnać z braćmi, ponieważ musieli pójść na wojnę. Zatrwożona tym Halina pewnie myśli: *Co ja zrobię? Matka ciężko chora, młodsze rodzeństwo zbyt małe, żeby mogło sobie samo poradzić? Pójdę do pracy i wezmę na siebie cały ciężar obowiązków. Pewnie stąd ten smutek i strach na jej twarzy.*

W 1939 r. rodzina Haliny i Marii z domu Maciejewskich przeprowadziła się do miasteczka Duniłowicze w województwie wileńskim. Nie zaznali tu długo spokoju. 17 września 1939 r. armia sowiecka wkroczyła na ziemie polskie, dotarła do Duniłowicz, nastąpiły masowe aresztowania Polaków. Zaczęło się panowanie władzy radzieckiej. Do szkół i urzędów wprowadzono język rosyjski. Jeśli ktoś się buntował, pozbawiano go wolności. W lutym 1940 r., w nocy, zostali aresztowani ksiądz, dyrektor szpitala, nauczyciel, komendant policji i policjant – ojciec Haliny i Marii, Zygmunt Maciejewski. Wieść o nim zaginęła i pomimo wielu starań, dziesiątek wysłanych listów, do dzisiaj rodzinie nie udało się uzyskać jakiegokolwiek informacji, co się z nim stało.

Wkrótce przyszła też kolej na rodziny aresztowanych osób. W nocy 21 czerwca 1941 r. (ostatnia deportacja Polaków w głąb Rosji) trzech sowieckich żołnierzy wtargnęło do mieszkania państwa Maciejewskich. Wszyscy byli przerażeni tym, co zaczęło się dziać, młodsze dzieci płakały. Dano im zaledwie pół godziny na spakowanie najpotrzebniejszych rzeczy. Potem zapakowano do bydłowych wagonów. Ludzie jechali w nich stłoczeni, w każdym po około czterdzieści osób. Rozpaczali i modlili się, a niektórzy siedzieli w bezruchu, pogrążeni w myślach o tym, co może ich spotkać. W wagonie jechali z nimi państwo Waskresińscy, kobieta – Polka i jej mąż Rosjanin oraz ich syn, Jureczek. Pani Waskresińska powtarzała: *Nie płaczcie, ja już drugi raz jadę na Sybir, nas wywieziono zaraz po rewolucji, jeszcze za panowania cara i wróciliśmy, wy też wróćcie.* Ich synek co jakiś czas zerkał przez zakratowane okienko i opowiadał, jaki widzi krajobraz. Pociąg jechał bardzo szybko, tylko od czasu do czasu zatrzymywał się, a wtedy jedna, bądź dwie osoby brały wiadra i szły po gorącą wodę do picia, niekiedy ciepłą, wodnistą zupę, *wodziankę*. Podróż trwała niewiarygodnie długo. Potem, po dotarciu nad brzeg rzeki Ob, kazano im się przesiąść na barękę, która była ciągnięta przez statek. Warunki były nie do zniesienia, panował niesamowity gorąc. Wycieńczeni drogą ludzie lamentowali i jęczeli. Dzieci

narzekały na głód. Nieświadome grozy i beznadziejności tego, co się z nimi stało, prosiły o to, co najbardziej lubiły, kwaśne mleko, kiełbaskę czy słodką bułkę. Niestety, otrzymanie takich rarytasów było w tamtych okolicznościach zupełnie niemożliwe. Wszyscy musieli zadowolić się co najwyżej kawałeczkiem chleba i odrobiną wody. Do miejsca docelowego, wsi Stary Toguł, przewieziono zesańców samochodami.

Stary Toguł, w którym przyszło im żyć, położony był w Kraju Ałtajskim, w południowej części Syberii. To teren górzysty i podmokły, który pani Maria tak wspomina: *Był to przepiękny kraj, ale nie dla nas, biednych zesańców. Te malownicze krajobrazy mogli podziwiać turyści, ale nie my, którzy byliśmy ciągle głodni i myśleliśmy tylko o tym, aby znaleźć pożywienie.* Stepy porośnięte były różnorodną roślinnością, często niebezpieczną dla ludzi, zwłaszcza tych, którzy jej nie znali. Dlatego Rosjanie uczyli ich, które z roślin są jadalne, a na które trzeba uważać. To niejednokrotnie uratowało im życie. Lato w tej części Syberii było krótkie i upalne, natomiast zima długa i bardzo sroga. Trwała od końca października aż do kwietnia, czasami maja. Temperatury dochodziły wtedy do -40, a nawet -50 stopni Celsjusza. Częstym zjawiskiem były olbrzymie i niesamowicie niebezpieczne burze śnieżne. Rodzina Haliny i Marii zamieszkała w starym, sypiącym się budynku. Była w nim tylko jedna izba, na środku stał piec, w którym palono chrustem. W czasie zimy ściany budynku często były oszronione. Najmłodsze dzieci spały na piecu, a inni członkowie rodziny najczęściej na podłodze. Pewnego razu po ciężkim dniu pracy brat Ziutek położył się tak spać. Kiedy obudził się następnego ranka, okazało się, że przymarzył plecami do zlodowaczonej ściany. Potem bardzo źle się czuł. Żeby ukoić jego ból, matka nacierała mu plecy śniegiem. Po tym zdarzeniu zachorował na gruźlicę, ale na szczęście udało mu się powrócić do zdrowia.

W 1943 r. najstarsi bracia, którzy wcześniej ciężko pracowali, żeby wyżywić rodzinę, poszli na wojnę. Matka zachorowała. Sytuacja stała się wyjątkowo dramatyczna. To właśnie wtedy szesnastoletnia Halina zajęła się matką i młodszym rodzeństwem: trzynastoletnim Józefem (Ziutkiem), siedmioletnim Jankiem, pięcioletnią Marią i dwuletnim Antonim (Tonikiem). Ta skromna, wyróżniająca się wyjątkową opiekuńczością i niezwykłą odwagą dziewczyna bardzo bała się o to, co może spotkać jej rodzinę. Dlatego pomimo wątpliwości, czy podoła wszystkim obowiązkom w tak trudnych warunkach, podjęła się ich. Rodzeństwo próbowało ją wspierać. Pani Maria pamięta, że brat Ziutek, żeby ją pocieszyć, zapewniał: *Halinko, nie martw się, damy sobie radę. Bracia wrócą z wojny i my też na pewno wrócimy do*

Polski, za którą tak bardzo tęsknimy. Mama wyzdrowieje. Pamiętaj o tym, jesteśmy tutaj razem. Będziemy pracować w pocie czoła, a pracy jest tutaj dużo, tylko musi nam sił wystarczyć. Janek, choć mały, też już może w wielu rzeczach pomóc.

Wiara ich nie opuszczała, a miłość i wzajemne wsparcie dodawały otuchy. Halina zaczęła pracować w zakładzie przetwórstwa ziemniaków. Krojono je tam na cieniutkie plasterki, a następnie suszono. Gotowe do spożycia wysyłano na front, tak jak większość pożywienia, leków i ubrań. Na szczęście wkrótce matka wyzdrowiała i razem z córką pracowały m.in. w kołchozie. Halina została zatrudniona także w *cechu trykatorskim*, gdzie robiono na drutach czapki, szaliki i rękawice. Pracowano tam wyłącznie za jedzenie. Dorosłym przysługiwało zaledwie 400 g chleba dziennie, a dzieciom 200 g, czasami pracujący przynosili z miejsca pracy trochę zupy. Wodę pozyskiwali z rzeki, w czasie mrozów topili śnieg. Wszystkiego im brakowało. Niedostatek wyniszczał ich zmęczone ciała. Dzieci – Marysia i Tonik przez cały czas byli głodni, szczególnie w zimie. Czekali tylko, aż Halina albo Ziułek przyniosą im kawałek chleba. Całkowicie oddana im siostra, choć sama najczęściej zmęczona i głodna, kiedy widziała, jak łapczywym wzrokiem patrzą na jej kawałek pieczywa, oddawała go im – swojemu ukochanemu rodzeństwu. Taka była Halina.

Tak jak inni Sybiracy, Maciejewscy cierpieli nie tylko z powodu głodu. Dręczyło ich też robactwo – wszy, pluskwy i prusaki, których było mnóstwo, ponieważ zesłańcy mieszkali w starym, sypiącym się domu i nie mieli żadnych środków higienicznych. Dokuczało im też wiele chorób, na które nie było lekarstw. W lecie często chorowali na roznoszoną przez komary malarię. Stale musieli radzić sobie z różnymi niedogodnościami. Czasem pomagali im Rosjanie, z których większość była w stosunku do nich uprzejma, gdyż sami cierpieli biedę i niedostatek. Takim dobrym człowiekiem był główny naczelnik kołchozu. Pewnego dnia do ich domu przybiegła zrozpaczona kobieta. Wyszlochała, że jej malutki synek Kostek umiera. Serce ścisnęło się na jej widok. Wtedy matka Haliny i Marii powiedziała: *Popatrz na niego, on chce żyć, jest tylko bardzo głodny, zwróć się o pomoc do naczelnika, może on coś na to zaradzi.* Kobieta poszła więc do tego naczelnika, a on przydzielił jej litr mleka dziennie. To pomogło małemu chłopcu odzyskać siły i zdrowie.

Wśród żyjących na Syberii wielu posiadało polskich przodków. Oni nadal czuli się związani ze swoją Ojczyzną. W swoich domach przechowywali polskie pamiątki, takie jak krzyżyki, orzełki czy różańce. Wszyscy Polacy tam – na tej obcej, nieludzkiej ziemi – nie zapominali o tym, kim są, dlatego

w domu Haliny i Marii mówiono tylko po polsku, a dzieci umiały czytać w języku polskim, czego nauczyły się z książeczek do nabożeństwa. Maciejewscy, tak jak inni Polacy, codziennie z trudem starali się pokonywać wszelkie przeciwności losu, bo wiedzieli, że w tych koszmarnych warunkach uda się przetrwać tylko najmocniejszym. Tę siłę czerpali z przywiązania do ojczyzny, ale też ze wzajemnej miłości. Gdyby nie ona, gdyby nie opieka matki i wsparcie Haliny, najmłodszy z rodzeństwa na pewno by nie przeżył.

Wojna zbliżała się do końca, a wraz nią w ich sercach pojawił się nowy promyk nadziei. Wprawdzie Rosjanie nakłaniali Polaków do zrzekania się polskiego obywatelstwa, ale matka i Halina, nie zważając na argumenty władz i wielokrotne nękanie z ich strony, nie zrobiły tego. Kochały Polskę i głęboko wierzyły w to, że do niej wrócą. Wkrótce rodzina dostała wiadomość, że wojna się skończyła, a Polacy mogą starać się o powrót do ukochanej Ojczyzny.

Wracali, podobnie jak w drodze na Sybir, w wagonach bydłowych, ale już nie pod konwojem, nie w atmosferze paraliżującego strachu. Dostali pieniądze na podróż. Pociąg co jakiś czas zatrzymywał się i wtedy można było udać się do urzędów funkcjonujących przy dworcach, gdzie dostało się kartki, dzięki którym zakupywano żywność. Już wtedy nikt się nie smucił, wszyscy byli szczęśliwi, że wracają do Polski i spotkają się ze swoimi bliskimi. Wiedzieli jednak, że mogą już niektórych nie zobaczyć.

Do kraju Maciejewscy powrócili w maju 1946 r. Przyjechali do Wrocławia, skąd zabrał ich brat Kazimierz do miejscowości Łupica w województwie poznańskim, zaopiekował się nimi. Miał narzeczoną, którą poznał w czasie wojny, ale przede wszystkim postanowił zająć się rodziną. Poszedł do pracy i starał się, żeby rodzeństwo zdobyło wykształcenie. Halina – dziewczyna ze zdjęcia, rozpoczęła naukę w Liceum Pedagogicznym w Lubomierzu, ukończyła dwie klasy, a następnie pracowała w szkole. W tym czasie dookończyła naukę w szkole średniej, zdała maturę, a następnie podjęła studia polonistyczne. Zamieszkała we wsi Czerna. Marysia i Tonik pozostali pod opieką siostry. Matka wraz z synem Kazikiem prowadziła niewielkie gospodarstwo. Maria skończyła szkołę podstawową, liceum, a później także pracowała w szkole. Rodzeństwo zawsze się kochało. Pomagało sobie w trudnych chwilach. Tak mijały lata.

Halina niestety już nie żyje. Pozostali – Maria oraz jej bracia, Józef i Jan – nadal mają ze sobą bardzo dobry kontakt. Stale powracają pamięcią do tamtych wydarzeń. Maria, choć od dawna na emeryturze, niestrudzenie opowiada najmłodszemu pokoleniu Polaków – bolesławieckim gimnazjalistom

– o swoich sybirackich doświadczeniach i przeżyciach oraz o ukochanej siostrze Halinie.

Bohaterka zdjęcia – Halina Maciejewska, choć była wspaniałą, serdeczną, pomocną i troskliwą osobą, nie zaznała szczęścia, jej życie było pełne strachu, bólu i cierpienia. Po powrocie do Ojczyzny wyszła za mąż za dobrego człowieka, lecz nie zdążyła się nim nacieszyć, gdyż zginął w wypadku. Miała także dwóch synów, których również wcześniej straciła. Jej rodzeństwo ciepło wspomina siostrę, a Pani Maria podkreśla: *Dzieciństwo mojej ukochanej siostry Haliny nie było szczęśliwe, tak jak nas wszystkich, ale to właśnie dzięki niej żyjemy, wróciliśmy do Polski i wyszliśmy na ludzi.*

Kamil Nowak
z Nozdrzca
Zespół Szkół Zawodowych
im. Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Dynowie

Tułacze losy Józefy Wrotniak, czyli Siostry Stelli od Najświętszego Sakramentu

Rodzinne fotografie to skarbnica naszej zbiorowej pamięci. Kto nie lubi oglądać starych albumów z wyblakłymi portretami naszych przodków? Często te utrwalone na kliszy fotograficznej wizerunki bliskich towarzyszą nam w naszych domach, zdobią ich wnętrza i są świadectwem przeszłości.

W mojej rodzinie są także takie tradycje, toteż kiedy przeczytałem regulamin konkursu „Historia jednej fotografii”, poprosiłem babcię, by wspólnie spenetrować jeszcze raz rodzinne albumy i odszukać w nich zdjęcie osoby, która została zesłana na Sybir. Pamiętałem przecież, że w swoich wspomnieniach o pobycie w Pawłokomie, wsi położonej nad Sanem, niedaleko Dynowa, wielokrotnie przywoływała historie Polaków, którzy zesłani zostali w głąb Rosji.

Mówiła o naszym dalekim krewnym, Tadeuszu Szczawińskim, który jako dziewiętnastoletni chłopak został skazany na przymusowe prace w obozie w Archangielsku i przebywał tam dwa lata – od 1939 roku, aż do roku 1941. Później, 10 lutego 1942 r., wstąpił do Armii Polskiej 22. Pułku Piechoty – 7. Dywizji Piechoty i od tej pory zaczęła się jego wielka podróż, którą ostatecznie skończył w Kanadzie, tam żyjąc i tam umierając. Kilkakrotnie wracał do Polski i spotykał się ze swoją rodziną, ale o pobycie na zesłaniu nie chciał opowiadać. Jego losy odżyły na nowo w tym roku, kiedy to bliscy postanowili przekazać mundur i pamiątki osobiste Muzeum



Narodowemu Ziemi Przemyskiej. Niestety, nawiązanie kontaktu z rodziną Tadeusza Szczawińskiego w Kanadzie nie dostarczyło mi szczegółowych informacji, na które liczyłem. Penetracja babcinych albumów też nie wzbogaciła mojej wiedzy.

Wtedy z pomocą przyszła mama. Przypomniała mi, że nasz bliski sąsiad pan Andrzej Wrotniak, zamieszkały w Hucie Poręby, który od lat zajmuje się sprawą mordu w Borownicy, wywodzi się z rodziny zesłanej na Syberię. Udałem się zatem do niego i opowiedział mi historię swojej krewnej – Józefy Wrotniak. Była to kuzynka jego ojca, pochodząca z Pawłokomy. Pokazał mi jej zdjęcie i spisane przez nią wspomnienia. Relacje te i osobisty pamiętnik wydały mi się bardzo interesujące, więc postanowiłem opisać je w niniejszej pracy.

Fotografia, która stanowi pretekst do przywołania historii wywodzącej się z Pawłokomy Józefy Wrotniak, pochodzi z 6 sierpnia 2001 roku i została zrobiona w domu prowincjalnym sióstr nazaretanek przy ul. Czerniakowskiej 137 w Warszawie, podczas uroczystości 50-lecia złożenia przez nią – już wtedy siostrę Stellę – pierwszych ślubów zakonnych w Zgromadzeniu Sióstr Najświętszej Rodziny z Nazaretu. Jubilatka stoi w środku z bukietem kwiatów a za nią od lewej strony Jan Wrotniak, brat mojego informatora Andrzeja i jego siostra Agnieszka, następnie jedna z sióstr nazaretanek, a po prawej przyjaciele siostry Stelli z Nowej Zelandii, małżeństwo Mortens. Przed nimi na stole znajduje się tort w kształcie fortepianu, co ma

przypominać o muzycznych upodobaniach siostry. Zwraca uwagę pogodną, pełną serdeczności twarz jubilatki, która odzwierciedla jej charakter, bo według relacji najbliższych była kobietą niezwykle ciepłą i skromną. We wspomnieniach relacjonuje swoją historię, nie dokonując żadnych ocen a raczej rzetelnie ją dokumentując.

Siostra Stella pochodziła z wielodzietnej rodziny rolniczej. Ojciec Henryk i matka Wiktoria należeli do zamożniejszych gospodarzy i posiadali duże, wielohektarowe gospodarstwo. Miała cztery siostry – Marysię, Stefanę i bliźniaczki: Weronikę i Teresę. Była najstarsza z rodzeństwa. Rodzina mieszkała w Kolonii Pawłokoma (do dzisiaj ta część wsi nazywana jest Kolonią) położonej w województwie lwowskim. Ojciec Józefy przed I wojną światową pracował we Francji, a gdy dowiedział się o wybuchu wojny, powrócił, by walczyć o wolność ojczyzny. Dostał się do niewoli do Guberni Archangielskiej, gdzie pozostał przez 3 lata, po czym uciekł, powracając w rodzinne strony. Spokojne życie rodziny zakłócił wybuch II wojny światowej. Do Pawłokomy dochodziły odgłosy nalotów i bombardowań sąsiednich miejscowości oraz wieści o masowych mordach dokonywanych na Żydach przez Niemców w Dynowie. Tym Żydom, którym udało się przepłynąć San i nie dosięgła ich kula niemiecka, Wiktoria Wrotniak pomagała, zaopatrując ich w żywność. Józefa przywołała historię kiedy to w 1939 roku, podczas wykopków, ukraiński posłaniec przyszedł do Henryka Wrotniaka z informacją, że jest wzywany na ważne spotkanie. Na miejscu okazało się, że są tam zgromadzeni niemal wszyscy polscy gospodarze. Kazano im się ustawić w rzędzie pod ukraińskim domem i wymierzono w nich z karabinu maszynowego, jednak po interwencji rosyjskiego nauczyciela mężczyzn jedynie przesłuchano i wypuszczono z powrotem do domu. Tu należałoby dodać, że Pawłokoma to wieś, którą przed wojną zamieszkiwało blisko 75% ludności ukraińskiej i 25% Polaków. Wzajemne relacje międzysąsiedzkie układały się dość poprawnie, choć i wtedy zdarzały się kradzieże czy szykany religijne. Po wybuchu wojny, kiedy to Rosjanie zaczęli podsycać antagonizmy ukraińsko – polskie sytuacja się zaogniła. Gdy 28.09.1939 r. podpisano traktat pomiędzy II Rzeszą a ZSRR, ziemie na wschód od Sanu (czyli także Pawłokoma) znalazły się pod okupacją sowiecką, a Ukraińcy według relacji Józefy Wrotniak na powitanie wojsk rosyjskich budowali bramy triumfalne i wołali: *Niech żyją nasi wybawiciele!* Rosjanie organizowali spotkania, na których przekonywano Ukraińców do przyłączenia ziem „ukraińskich” po wschodniej części Sanu do Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej i wyzwolenia spod ucisku „polskich

panów”. Zabroniono działania tam wszelkich instytucji religijnych a następnie przeprowadzono spis ludności polskiej we wsi.

10.02.1940 roku, około godziny 1.30 w nocy dało się słyszeć walenie do drzwi domów Wrotniaków i innych sąsiadów. Odgłosy niosły się po całej wsi. Do domu wtargnęli uzbrojeni Rosjanie z NKWD i Ukraińcy. Jeden z mężczyzn powiedział, że za pół godziny cała rodzina ma być gotowa do wyjazdu. Ojciec przeczuwał, gdzie ich wywiozą. Wiktoria próbowała wpłynąć jakoś na mężczyzn, prosząc, by zostawili ich w spokoju ze względu na małe dzieci, które zaczęły rozpaczliwie płakać. Czy to pod wpływem jej próśb, czy z innych względów Rosjanie pozwolili im zabrać ze sobą zapasy żywności, ubrań oraz cenne drobiazgi. Jak wspomina Józefa – *Całe szczęście był świeżo upieczony chleb*. Niektórzy pomagali pakować rzeczy w czasie gdy matka ubierała dzieci. Wrogowie pomogli załadować wszystkie bagaże na sanie, a później przenieść je na drugie sanie, którymi zesłańcy zostali przewiezieni do Leska. W Lesku czekały na nich pociągi z wagonami bydłecymi, do jednego z nich została zaprowadzona cała rodzina Wrotniaków i jeszcze 4 inne z Pawłokomy.

Wtedy to deportowano ze wsi 40 Polaków, wśród których znalazły się rodziny Wrotniaków, Radoniów, Pyrdów, Łachów, Chrapków i dwie rodziny Banasiów. Tu należy dodać, że z całej grupy zesłanej na Syberię ocalało tylko 10 osób.

Drzwi zamknięto na żelazne sztaby i dodatkowo zabezpieczono kłódką. Kiedy pociąg ruszył, rodzina odżywiała się tym, co miała przy sobie. Czasami otwierano drzwi wagonów i jedna z osób mogła wyjść do innego wagonu, gdzie znajdowała się żywność. Gdy pociąg zatrzymał się na postój, jacyś ludzie z zewnątrz bili pięściami w wagony i krzyczeli: *to nie są przestępcy ani zwierzęta...!*, co sprawiło, że otwarto zasuwę wagonu i wniesiono wiadro gorącej wody, a kilka dni później przyniesiono też wiadro rzadkiej zupy. Od czasu do czasu podawano trochę chleba. Kiedy pociąg wjechał w głąb Rosji, nie zamykano wagonów, więc niektórzy wychodzili, by kupić coś do jedzenia – zdarzały się przypadki, że pociąg ruszył bez pasażera, który później już nie powrócił do swojej rodziny. Podobnie byłoby z Józefą, która wyszła z wagonu z ciotką, a ponieważ ich pociąg zmienił tor, nie mogły go odnaleźć i dosłownie w ostatniej chwili, już w biegu zostały wciągnięte do wagonu. Po kilku tygodniach dojechano do swierdłowskiej *obłasti* (obwodu), gdzie kończyły się tory. Rodzinę Wrotniaków przydzielono do pracy w tartaku. Ponoć był to największy tartak na świecie – pracowało w nim przeszło 2 tys. ludzi. Henryk podczas podróży zachorował na nogi. Przywieziona

przez rodzinę żywność została rozkradziona tak, że pozostała im jedynie odrobina kaszy kukurydzianej, którą przyniósł sąsiad. Szesnastoletnia Józefa pomagała matce i zajmowała się dziećmi. Komendant obozu złościł się, że przywieziono mu do pracy rodziny z dziećmi, jednak pomagał i bronił tych, którzy nie pracowali z powodu choroby. Wkrótce NKWD wytropiło działania komendanta i po dwóch miesiącach zastąpił go inny.

Wtedy całą rodzinę Wrotniaków umieszczono w baraku (w środku tajgi) otoczonym wysokim ogrodzeniem, na szczycie którego znajdował się drut kolczasty. Przydzielono im mały pokój z jednym łóżkiem. Przypadająca racja jedzenia na jednego mieszkańca obozu to zupa i 200g chleba, który smakował jak glina i nie dało się go zjeść bez ususzenia. Matka jeździła do pracy w tartaku, zaś schorowany ojciec pozostawał w domu, doglądany przez 3 starsze córki, które modliły się o jego zdrowie i podobno obmywały mu nogi wodą ze źródła z Lourdes. Według relacji Józefy to uzdrowiło ojca i podjął pracę w lesie.

Ludność rosyjska była bardzo wyrozumiała dla Polaków, może dlatego że sama mieszkała w trudnych warunkach. Niektórzy mieszkali jeszcze w ziemiankach. Warunki, w jakich pozostawali Polacy, były dramatyczne. Pojawiały się wszy, zaczęto chorować na tyfus brzuszny, płamistą, dyzenterię krwawą (czerwonka) i wiele innych epidemii. Józefa wspominała, że przez ścianę słycać było jęki umierających dzieci sąsiadki z Polski – pani Łach, która niedługo po nich też zmarła. Z rodziny tej przeżył jedynie ojciec z synem i córką. Codziennie wynoszono z baraku kolejne trupy – wkładano je do skrzyń zбитych z surowych desek i chowano w tajdze. Po kilku miesiącach pobytu w obozie pozwolono udać się z przepustką na osiedle, by za ubrania dostać coś do jedzenia. Kilka razy za odzież Józefy, Henrykowi udało się przynieść trochę kaszy. Czasami zdarzało się, że doszła jakaś paczka od krewnych z żywnością, raz przysłali też 200 rubli od stryjenki z Pawłokomy. Józefa wspomina, że do jej obowiązków należała opieka nad rodzeństwem oraz kupowanie chleba na kartki. Jednak to drugie zadanie nie było proste, gdyż silniejsi odtrącali ją na koniec kolejki, a kiedy stawała już przy ladzie, brakowało towaru.

Wiktoria i Henryk pracowali na 3 zmiany, gdyż trudno było utrzymać tak dużą rodzinę (musieli płacić karę za nieposyłanie dzieci do szkoły rosyjskiej). Ojciec mówił: *nie pozwolę, by was miano wychować na komunistów*. Postanowiono również, że Józefa ma iść do pracy w tartaku. Pracowała tam jedynie miesiąc, gdyż nie wyrabiała normy. Do jej obowiązków należało układanie desek w sześcian, jednak to było ponad jej siły. Po pewnym

czasie rodzice zachorowali na tyfus, ale ukrywali przed nią swoją chorobę. Dostali zwolnienie z wypełniania obowiązków w tartaku i niewielką pensję. Dzięki pomocy kilku rodzin rosyjskich wyzdrowieli, a i żadne z dzieci nie zachorowało.

Po kilku miesiącach Rosjanie docenili ich pracowitość. Rodzina Wrotniaków została przeniesiona do Kombinatoru Fanierna – miasta Tauda – do „TRUD Pasiołek Jalułka”, gdzie otrzymali jednorodzinny barak z piecem chlebowym. Za każdym z domów znajdowały się małe działki do upraw. W ciągu trzech wiosenno–letnich miesięcy Wrotniakowie wyhodowali warzywa takie jak ziemniaki, marchew i inne. Rodzina była śledzona przez rosyjskich tajniaków, więc wieczorami, gdy modlili się i śpiewali pieśni religijne, zasłaniali okna kocem.

Wiktoria poznała panią Annę Golyszewą, która zabrała Józefę do swojego domu w Taudzie. Dziewczyna opiekowała się tam kilkumiesięczną Rosjanką. Anna zaczęła traktować Józefę jak własną córkę, pozwalała jej korzystać z własnej łaźni, dawała jej modne ubrania, a i jedzenia miała pod dostatkiem. Mąż jej należał do KGB. Małżeństwo skrycie potępiało rządy Stalina, ale, będąc postrachem sąsiadów i podwładnych, dobrze się maskowało. Młoda opiekunka mogła swobodnie rozmawiać z nimi na wszystkie tematy. W sypialni małżonków między doniczkami z kwiatami znajdował się obraz Matki Boskiej. Spizarnia była wypełniona po brzegi, gdyż, oprócz wynagrodzenia, wszyscy urzędnicy otrzymywali co 3 miesiące sztukę materiału na osobę pracującą oraz różne produkty spożywcze. Wszystko jednak pozostawało w ścisłej tajemnicy. W dni wolne od pracy mąż Anny pił samogon, a Józefa zamykała się w pokoju na klucz, mimo zapewnień kobiety, iż mąż nic jej nie zrobi. Dziecko Rosjanki zachorowało i zmarło na tę samą chorobę co 10 poprzednich. Miała jedynie 9-letniego syna Iwana. Rosjanka zdradziła dziewczynie w tajemnicy, że wozila swoje wszystkie dzieci 500 km do Swierdłowska, by ochrzcić je u prawosławnego księdza. Po śmierci dziecka, na prośbę Anny, Józefa została u niej.

Ogłoszono wtedy, że Polacy objęci są amnestią. Było to nagłą nowiną dla wszystkich Polaków. Dowiedzieli się, iż wszyscy, którzy żyją, są objęci amnestią. Rodzina Wrotniaków zaczęła przygotowywać się do podróży. Matka przyjechała po Józefę, jednak Rosjanka nie chciała jej puścić, mówiąc, że pragnie dziewczynę adoptować. Matka jednak postawiła na swoim i 15 września 1941 roku rodzina wyruszyła w nieznaną. Nie dawano żadnych posiłków, jedynie podczas postojów można było wyjść i kupić kawałek chleba czy arbuza, a za ubrania *lepioszki*. Bywało też, że kazano

Sybirakom opuścić pociąg i kilka dni czekać na kolejny. Wszyscy wyczuwali jakąś niewidoczną manipulację. Pociąg przejeżdżał przez: Czimkient, Taszkient, Leninabat, Samarkandę aż do Kirchistanii, kolejno z powrotem do Taszkientu (3 razy tam i z powrotem) aż do Uzbekistanu. Część Polaków została w Kirchistanie inni w Uzbekistanie, a resztę zawieziono do Kazachstanu. Tam wysadzano, co dziesięć wiosek, po cztery, trzy rodziny. Rodzina Wrotniaków po 1,5 miesięcznej podróży dotarła w rejon Lugowaja. Tam zawieziono ich wołami do lepianki, której dach był pokryty strzechą, a podczas opadów woda lała się po ścianach. Za posłanie służyło klepisko posłane słomą, a raczej suchymi chwastami. Wodę można było z trudem zaczerpnąć z niewielkiego strumienia, w którym Uzbeczki prały ubrania, co sprawiało, że woda była zanieczyszczona i polskie rodziny zaczęły chorować. Józefa z matką chodziły 6 km do pracy, do ogrodu warzywnego dla urzędników rosyjskich. Wynagrodzeniem za cały dzień pracy była niewielka ilość mąki. Z powodu braku witamin rodzice i wszystkie córki oprócz Józefy, która dobrze się odżywiała na Syberii, zachorowali na *kurzę ślepotę*¹. W powrocie do zdrowia rodzinie pomogli młodzi Polacy, którzy przynieśli wątrobę i kazali ugotować ją a następnie stać nad oparami, z otwartymi oczami. Przynieśli także psie sadło.

Z początkiem grudnia 1941 roku zmarły bliźniaczki. Przeżyły 4 lata. Ciała zawinięto w prześcieradła i zakopano na stepie. Obydwie chorowały na odrę. Później ciężko zachorował Henryk. Zaniemógł na nogi i męczył go ostry kaszel. Zmarł z końcem marca 1942 roku, mając blisko 50 lat. Józefa nie była przy pogrzebie ojca, gdyż musiała iść do pracy. W pracy upatrzył ją sobie pewien Uzbek, który traktował ją i jeszcze inną Polkę wyjątkowo. Matka jednak kazała jej unikać mężczyzny. Za to skazał je na ciężkie prace ponad siły. Dopiero kiedy zagroziły mu, że napiszą list do Stalina – „przyjaciela Polaków”, iż znęca się nad nimi, uwierzył i dał im spokój. Wiktoria zaczęła podupadać na zdrowiu i trafiła do szpitala oddalonego kilka kilometrów od lepianki, w której mieszkały. Po pewnym czasie wypisano ją, mimo że ledwo mogła stać... Córki z trudem doprowadziły ją do lepianki. Nic nie mogła jeść, całkiem osłabła, miała spalone usta i pluła krwią. Jak się później okazało, chorowała już drugi raz na tyfus, czerwonkę krwawą i pelagrę.

Jakiś czas później przybyli trzej Polacy z wieściami, że wszyscy odzyskają wolność. Sprawdzano dokumenty, gdyż zabierano tylko rzymsko-katolików. Na wóz zaprzężony w bawoły zapakowano rzeczy Wrotniakówien,

¹ Inaczej ślepotą zmiernicową; potoczne uszkodzenie wzroku, którego istotą są zaburzenia widzenia po zmierniczu. Przyczyną choroby jest brak witaminy A.

które z chorą matką ruszyły w nieznaną podróż. Dojechały do stacji, gdzie pociągiem zostały przewiezione do Dżambułu. Tam na dużej polanie wielu Polaków czekało na dalszą podróż. Ktoś ze służby medycznej chodził i sprawdzał stan zdrowia. Okazało się, że Wiktoria jest konająca. Zabrano ją do szpitala. Ostatnim gestem, jaki wykonała, było zdjęcie z szyi sakiewki z oszczędnościami i przekazanie ich Józefie. Ta z kolei, myśląc, że nie przeżyje z siostrą, oddała wszystkie pieniądze opiekunce sierot. Dziewczęta już więcej nie zobaczyły matki. Ruszyły w dalszą podróż pociągiem. Siedziały w przedziale z innymi dziećmi, które również były sierotami. Minęły Czimkient, Taszkient, Leninabat, Samarkandę, Bucharę, Czargan, Aszchabad i wysiadły w Krasnowodzku. Tam głodne siostry czekały na okręt. W tym czasie zaprowadzono je do łaźni, gdzie zostały poddane dezynfekcji i obcięto im maszynką włosy. Zabrano wszystkie rzeczy wraz z dokumentami, zostawiając jedynie to, co miały przy sobie.

Kiedy przyplłynął długo oczekiwany angielski statek towarowy, Józefa, Maria i Stefania wraz z resztą zesłańców zostali stłoczeni na okręcie, na którym nie było miejsca, aby usiąść. Na statku dochodziły ich jęki chorych, którym nie udzielano żadnej pomocy. Nie było nic do zjedzenia ani do picia, a opiekunka smarowała usta i języki dzieci zwilżoną w wodzie watą. Podróż trwała trzy doby... Zdarzyło się, że zatratowano na statku kobietę, a jej zwłoki wyrzucono do Morza Kaspijskiego.

Kiedy dotarto do portu towarowego w Pahlevi, komisja angielskiego Czerwonego Krzyża sprawdzała stan zdrowia wyzwoleńców.

Siostry zostały uznane za osoby, które wymagają opieki medycznej, więc pozostały w Pahlevi pod opieką żołnierzy hinduskich, zaś zdrowi zostali przewiezieni do Teheranu. Dzieci podzielono na grupy po 25 osób (osobno dziewczynki i osobno chłopcy) i pod opieką polskich wychowawców zamieszkały w namiotach wojskowych, gdzie przestrzegano ściśle określonej diety (posiłki i wszystkie prace za dzieci wykonywali hinduscy żołnierze). Po miesięcznej kwarantannie przewieziono je do Teheranu przez góry Elbrus. Droga była bardzo kręta. Podróżowano ciężarówkami. W Teheranie podopiecznych rozlokowano w namiotach oraz w wielkiej kamienicy, gdzie spały na kocu i małej poduszce podarowanej przez żołnierzy polskich, którzy także dzielili się z nimi swoim prowiantem. Józefa wspomina, że spotkała tam wiele dziewczynek pochodzących z jej okolic.

Następnego miesiąca przewieziono je do Isfahanu i porożsyłano po zakładach. Każda z sióstr trafiła w inne miejsce. Józefa zamieszkała przy ul. Dżulfa, gdzie przebywało już 300 dziewczynek (listopad 1942). Ważyła

35 kilogramów. Zakład ogrodzony był wysokim, grubym murem z bramą stale zamkniętą i pilnowaną przeważnie przez starszego mężczyznę, a gdy zaszła taka konieczność, to przez dziewczęta. Sypialnie były dla nich całym domem, spało się tam, jadło i uczyło, a także robiło różne robótki. Nie wolno było wychodzić poza teren zakładu, gdyż rozpowszechniony był handel kobietami. Zdarzało się, że starsze dziewczęta, łamiąc regulamin, wykradały się i często już nie wracały. W szkole poznawały zwyczaje i obyczaje Persów, a w wolnym czasie grały w piłkę i różne gry. Dwa razy w tygodniu wożono je na basen i do łaźni pod prysznicę. W wolnym czasie jeździły na wycieczki, by poznać zabytki, takie jak: meczety, muzea, winnice, stare zabytkowe mosty i wiele innych. Dziewczęta miały też dostęp do kościoła. Mieściła się tam rezydencja biskupa ormiańskiego Akhbara, wraz z którym mieszkali księża Czarniecki i Wilniewczyc – zakładowy duszpasterz. Byli to kapłani bardzo życzliwi dla polskich sierot. Józefa zachorowała na zapalenie stawów, a później na malarię i świnkę. W 1943 roku wstąpiła do ZHP i zaczęła uczyć się języka angielskiego.

Śpiewała w chórze, gdzie uczyła się wraz z innymi dziewczętami pieśni patriotycznych i ludowych, grała w teatrze. Występowała np. w „Krakowskim Weselu”, na które przybył Szach ze swoją świtą. 14.01.1943 roku wystawione zostały także przez dziewczęta Jasełka, na których byli obecni generał Tokarzewski i dowódca bazy w Teheranie – pułkownik Romuald Borycki (byli częstymi gośćmi w zakładzie). Występy bardzo się im podobały.

Pewnego dnia, kiedy grupa Józefy wróciła z wycieczki, w bramie czekały zapłakane dziewczęta z wiadomością, że gen. Sikorski nie żyje. Straciły wtedy nadzieję na powrót do wolnej ojczyzny.

Jak twierdzi Józefa, dziewczęta miały wiadomości o walkach Polaków na różnych frontach, gdyż informacje dostawały drogą podziemną. W świetlicy na ścianach wisiały wszystkie nowiny o rozwoju sytuacji w kraju i za granicą. Spokojne życie w Isfahanie dobiegało końca, powolny rozjazd ludności powodowało zagrożenie ze strony rosyjskiej. Józefa była zapisana na 3 transport do Afryki, jednak musiała pozostać na miejscu z powodu zakaźnej choroby oczu u swoich sióstr (jeglica). Czekala więc z niepokojem na swój transport, gdyż wszystkie kolonie angielskie były przepełnione i nie było miejsca dla 731 dzieci i młodzieży oraz 105 osób z personelu. Dzięki życzliwości premiera Petera Fräsera i jego żony, z poparciem arcybiskupa Tomasza O’Shea, rząd z Nowej Zelandii wysłał propozycję do polskiego rządu w Londynie, że może przyjąć do siebie polskie dzieci. Józefa znalazła

się w tej grupie. Niepokoił ją jednak fakt, że zamiast zbliżyć się do Polski, coraz bardziej się od niej oddala.

Dnia 27 września 1944 roku dzieci opuściły Isfahan i po jednodniowej podróży dotarły do Sultanabadu, gdzie zostały bardzo przyjaźnie przyjęte przez wojsko amerykańskie. Tego samego dnia o 23:00 wsiadły do pociągu i ruszyły w dalszą podróż do Ahwazu, gdzie pozostały przez dwa dni, gdyż ostatecznym celem był port w Karamczy. W Karamczy wsiadły na angielski statek towarowy. Trasa biegła wzdłuż rzek Eufrat i Tygrys do Zatoki Perskiej, na Morze Kaspijskie. Siódmego dnia znalazły się już w Indiach, w porcie w Bombaju. 22 października przesiadły się na okręt pasażerski o nazwie „General Randall”, który przewoził także 2 tys. żołnierzy amerykańskich, australijskich i nowozelandzkich. Statek ten był bardzo luksusowy. Każdy miał swoje łóżko, chociaż bez materaca, były umywalki, prysznice z ciepłą wodą morską, osobne jadalnie i pod dostatkiem jedzenia.

Płynąc Morzem Arabskim, mali podróżnicy wpłynęli na Ocean Indyjski. Koło wyspy Jawa okręt uszkodziła japońska łódź podwodna. Statek był przechylony i woda zaczęła wpływać do wnętrza, ale pasażerom nie wolno było opuszczać kajut, mimo słyszalnych strzałów. Ocalił ich konwój.

Codziennie o ustalonych porach odbywała się Msza święta i modlitwa różańcowa. Ks. Wilniewicz był bardzo gorliwy i dbał o prawidłowy rozwój duchowy swoich podopiecznych. Po pewnym czasie wpłynęto na Ocean Spokojny. W końcu szczęśliwie dotarto do Australii (Sydney). Tam wysadzono część żołnierzy, a reszta, razem z dziećmi i młodzieżą, popłynęła przez Cieśninę Cooka do Nowej Zelandii.

W Nowej Zelandii okręt zatrzymał się w porcie Wellington, gdzie na gości na molo czekała ludność z flagami zarówno nowozelandzkimi, jak i polskimi. Na statku powitali ich: premier Nowej Zelandii Peter Fraser, konsul Wodzicki i jego żona. Wojskowi, skauci i osoby z Czerwonego Krzyża rozlokowywali przybyszy w wagonach i podawali posiłki. Wszyscy na powitanie machali chusteczkami i obdarowywali dzieci kwiatami aż dojechały do obozu „The Polish Children’s Camp” w Pahiatua. Po 6 godzinach drogi, 1 listopada 1944 r. dzieci dojechały do Pahiatua, do wyznaczonych domków. Obóz był bardzo dobrze wyposażony, działała tam szkoła podstawowa i gimnazjum (2 lata). Uczono się języka angielskiego. Rząd Nowej Zelandii dążył do adopcji polskich sierot, jednak ich opiekunowie polscy stanowczo się temu sprzeciwiali. Po roku pozostawiono ich samym sobie i podlegali administracji polskiej. Do Polaków docierała miejscowa ludność

i nowozelandzcy kapłani. Uczyli ich pieśni patriotycznych i nie mogli się nadziwić, jakim szacunkiem Polacy darzą kapłanów.

Rząd dbał o rozwój kulturowy, więc zapraszał do obozu artystów, śpiewaków i aktorów z przedstawieniami. Żołnierze przygotowywali prezentacje filmów, często o tematyce religijnej lub komediowej. Józefa w dalszym ciągu należała do harcerstwa, Sodalicji Mariańskiej i Legionu Maryi. Spędzała codziennie wiele czasu na rozmowach z Panem Bogiem. Nie wyobrażała sobie, aby żyć bez codziennej mszy świętej, komunii świętej, bez polskich pieśni i kazań.

I przyszedł ten dzień. Trzeba było wyjechać z obozu do stolicy Wellington, a było to 20 września 1946 roku. W hostelu mieszkały 4 Polki i 76 dziewcząt innej narodowości. 23 września Józefa rozpoczęła pracę w prywatnym zakładzie krawieckim. Kierownictwo było zadowolone z jej pracy. Niedaleko hostelu znajdował się kościół o.o. Redemptorystów pw. MB Nieustannej Pomocy, do którego Józefa wraz z koleżankami chodziła i uczestniczyła w niedzielnych i świątecznych mszach świętych oraz pierwszych piątkach miesiąca. Józefa zapisała się do chóru mieszanego, który prowadził misjonarz o. Redemptorysta. Ten zaprosił ją na rozmowę, podczas której zasugerował, że ma powołanie do zakonu. Józefa jednak uważała, że zakon przeznaczony jest dla osób obdarzonych objawieniami, ale po gorących modlitwach utwierdziła się w powołaniu. Nie chcąc jednak formować się w angielskim zakonie, poszła do polskiego księdza Leona Platera, który doradził jej Zgromadzenie Nazaretanek. Znał siostrę Bożenę Staczyńską, podał Józefie jej adres, by napisała prośbę o przyjęcie do zgromadzenia. Sam też napisał list do Matki Generalnej. Józefa Wrotniak otrzymała pozytywną odpowiedź.

W maju 1949 roku opuściła Nową Zelandię i po pożegnaniu się z siostrami, popłynęła do Europy. 18 czerwca 1949 roku w wieku 26 lat wstąpiła do Zgromadzenia Sióstr Nazaretanek w Rzymie, gdzie odbyła 8 lat formacji. W 1957 roku złożyła śluby wieczyste, przyjmując tajemnicę Najświętszego Sakramentu.

Po 10 latach spędzonych we Włoszech (najdłużej w Loretto), gdzie zajmowała się dziećmi małżeństw polsko-włoskich oraz uczyła się muzyki i gry na organach, wróciła do Polski.

Stało się to po 27 latach tułaczki, w końcu 1967 roku lub na początku 1968. Cały czas, ucząc się muzyki, pełniła służbę organistki w różnych domach zgromadzenia, m.in. Łukowie (1968-1969), Kaliszu (1969-1975, 1983-1988), Ostrzeszowie (1975-1982), Żdźarach (1982-1983) i Wytycznie (1988-1994). Ostatnie 17 lat życia spędziła w domu prowincjalnym w Warszawie (1994-2011), pomagając w szwalni.

Uwielbiała muzykę i czytanie religijnych książek. Jej ulubionym autorem był św. Franciszek Salezy. Interesowała się wydarzeniami ze świata i Kościoła. Lubiła dyskutować na wszelkiego rodzaju tematy. Starła się być do końca samodzielna, dosyć niechętnie przyjmowała pomoc od innych, lecz za wyciągniętą do niej pomocną dłoń potrafiła dziękować. Prosiła o dobrą śmierć dla siebie oraz o to, by nie była ciężarem dla innych. Jej prośba została wysłuchana. Zmarła, przeżywszy 87 lat, w 62. roku życia zakonnego.

Jej siostry – Maria i Stefania pozostały w Nowej Zelandii a ona, mimo że do Pawłokomy nie wróciła, zawsze pamiętała o swojej dalszej rodzinie. Pewnie miała w pamięci pomocną dłoń, którą podała jej rodzinie stryjenka... Dzisiaj nie ma już gospodarstwa Henryka i Wiktorii, ale na miejscu rodzinnego domu Józefy stoi nowy – brata mojego informatora Andrzeja Wrotniaka, Jana. I tak dzięki, wydawać by się mogło, niezbyt wyróżniającej się rodzinnej fotografii, poznałem niewiarygodne wręcz, tułacze losy Józefy Wrotniak, czyli siostry Stelli od Najświętszego Sakramentu.

Koleżanki Sybiraczki

Złe wspomnienia najtrudniej wymazać z pamięci, bo stają się blizną na sercu. I choć życie toczy się dalej, one powracają w koszmarach, wyciskają łzy z oczu i sprawiają, że dłonie znowu zaczynają drżeć... Jakby z przenikliwego zimna...

Wspólna fotografia nie powinna być smutna, bo łączy na resztę życia. I choć na twarzach tego dziecka i tej dziewczyny niepozornie wkrada się uśmiech, ich oczy są przepełnione smutkiem, poczuciem straconego czasu, dzieciństwa i młodości, poczuciem braku beztrudnych chwil przypisanych przecież tym okresom życia.

To zdjęcie zostało wykonane w maju 1945 roku w mieście Pawłodar nad Irtyszem w Kazachstanie, na Syberii. Przedstawia 10-letnią Milusię Wysocką i 24-letnią Feliksę Roman. To pożegnalna fotografia, zrobiona na pamiątkę wspólnego losu dwóch rodzin, które połączyły wspólna tułaczka i niedola, głód i łzy zawieszony gdzieś między upalnym latem, a srogą zimą z dala od domu. To był koniec zesłania dla Feliksy. Dzięki staraniom jej braci, oficerów polskiej armii, opuszczała wraz z matką i ojcem Kazachstan. Milusia z mamą wróciły nieco później.

Zdjęcie zostało zrobione w marnym zakładzie fotograficznym, jedynym zresztą w Pawłodarze, 20 maja 1945 roku. Na odwrocie odręcznie napisana została dedykacja:

*Kochanej Milusi i p. Heli
na pamiątkę wspólnego pobytu na Sybirze
od 13 IV 1940 r. do 23 V 1945 r. w jednym mieszkaniu razem
prosi o niewytarcie z pamięci
Fela Lola Romanówna*

Ta znajomość przetrwała próbę czasu, tysiące kilometrów...



Koleżanki Sybiraczki



1911.10.21

Kim były?

Emilia Wysokińska, dziś Kuśmierowicz, urodziła się w Kowlu w 1935 roku. Jej mama pochodziła z Dubienki, a ojciec z Kurowa w gminie Gołąbki koło Łukowa. Mieszkała z rodzicami przy ulicy 3 Maja 2c, w małym domku położonym obok nowego kościoła – Pomnika Krwi i Chwały. Ojciec był cywilnym pracownikiem policji, mama zajmowała się domem. Była jedynaczką, „oczkiem w głowie” swojego ojca. Jej starszy brat zmarł kilka miesięcy po narodzinach.

Po aresztowaniu ojca, już nigdy więcej go nie zobaczyła. Przebywał w więzieniu w Kowlu, następnie został przewieziony do obozu w Ostasz-kowie. Zamordowano go w Kalininie (obecnie Twier). W kwietniu 1940 roku został pogrzebany w Miednoje w zbiorowej mogile ponad 6 tysięcy polskich funkcjonariuszy państwowych, inteligencji i innych patriotów.

W latach 90-tych Emilii Kuśmierowicz udało się odnaleźć grób swojego brata. W roku 2000 odbyła podróż do Miednoje, gdzie miała miejsce uroczystość poświęcenia grobów. Tam na cmentarzu polskich żołnierzy odnalazła symboliczny grób swojego ojca.

Emilia Kuśmierowicz dziś mieszka w Chełmie w województwie lubelskim. Ma 82 lata.

Feliksa Roman (po mężu Zubowicz) urodziła się 17 marca 1921 roku w Wincentowie, małej wsi koło Krasnegostawu. Jej rodzice – Katarzyna i Franciszek – nie należeli do zamożnych. W 1919 roku ojciec wyjechał na wschód w poszukiwaniu pracy. Zaproponowano mu posadę w Kowlu. W międzyczasie zaczął uzupełniać wykształcenie, najpierw w carskiej szkole podstawowej, później na wieczorowych kursach ogólnokształcących. Rodzina dołączyła do niego w Kowlu w 1923 roku. Po aresztowaniu w 1939 roku Franciszek był więziony we Włodzimierzu, potem Kowlu, Lwowie, Ostasz-kowie itd. Chciał się zaciągnąć do armii Andersa. Niestety, przyjmowano tylko młodych, więc z przyjacielem przewędrował z północy na południe całą Rosję, starając się dostać do Wojska Polskiego. Udało mu się odszukać żonę i córkę. Mieszkał z nimi w Pawłodarze. Razem wrócili do Polski. Początkowo mieszkali w Szczecinie.

Feliksa zamieszkała z mężem w Lublinie. Od kilku lat Emilia nie ma z nią kontaktu. Prawdopodobnie jej starsza koleżanka z fotografii zmarła.

Podróż w nieznane

Zostałam deportowana wraz z matką przez władze Związku Radzieckiego z Kowla w woj. wołyńskim w kwietniu 1940 r. Przyczyną deportacji były nasza narodowość i obywatelstwo, pochodzenie inteligenckie, zagrażające sowieckim porządkom. Nie bez znaczenia były też zasługi mojego ojca w obronie ojczyzny w wojnie w latach 1918-1920 i jego dalsza służba w Korpusie Ochrony Pogranicza na wschodzie oraz praca w Powiatowej Komendzie Policji Państwowej – wspomina Emilia Kuśmierowicz, z domu Wysokińska. – NKWD aresztowało ojca we wrześniu 1939 roku, po wkroczeniu Sowietów na terytorium Polski. Zostałyśmy z mamą same.

Na krótko przed wywózką w domu Wysokińskich pojawił się Żyd z dziecięcym kozuszkim. Namawiał matkę Milusi, aby kupiła córce ciepły płaszcz. Nie chciała. Mówiła, że jest jej niepotrzebny. Gdy dziewczynka go zmierzyła, okazało się, że jest dla niej o wiele za duży. A jednak w końcu Żydowi udało się namówić panią Helenę na kupno kozucha.

– Jak bardzo się później przydał... Przechodziłam w nim wszystkie zimy. Coraz bardziej pasował. Czy ten mężczyzna wiedział, że zostaniemy zesłane? Wydaje mi się, że chyba wiedział – opowiada 82-letnia dziś Emilia.

Ojciec Feliksy pracował w Policji Państwowej w Kowlu. W 1936 roku został posądzony o komunizm i zwolniony, bo piastując stanowisko oskarżyciela publicznego w sądzie, bronił chłopów i biedaków, często sądzonych za drobne kradzieże. Długo nie mógł znaleźć nowej pracy. W końcu zatrudniono go w Urzędzie Miasta na stanowisku poborcy czynszowego. Gdy wybuchła II wojna światowa, zaczęły się aresztowania, łapanki i wywózki na Sybir.

– Miejscowi Ukraińcy po cichu podpowiadali ojcu ucieczkę. Był na liście do aresztowania z powodu donosu do władzy radzieckiej, że pracował w policji. Przez jakiś czas ukrywał się u sąsiadów i znajomych, lecz w końcu trudno było znaleźć u kogoś kryjówkę. Wraz z 14-osobową grupą przyjaciół, będących w podobnej sytuacji, postanowili poszukać schronienia u rodzin i znajomych w centralnej Polsce. Niestety, opłacony ukraiński przewodnik oszukał ich i zawiadomił policję. Całą grupę aresztowano – opowiada w liście do Emilii Feliksa.

Ojciec Feliksy został skazany na 8 lat. Przebywał w różnych więzieniach, aż w końcu trafił na daleką północ do Syktywkaru w Republice Komi ASSR.

Syberyjska gehenna rodzin Milusi i Feliksy rozpoczęła się w nocy z 13 na 14 kwietnia 1940 roku.

– *Do domu wkroczyli funkcjonariusze NKWD. Przeprowadzili rewizję, a następnie stwierdzili „sobirajsa” – szykuj się. Nasz lokator, student, pomógł pakować rzeczy i moje łóżeczko* – wspomina Emilia Kuśmierowicz.

O godz. 2 pod dom podjechały furmanki.

– *Kiedy wszystko leci z rąk, ogarnia rozpacz i strach – to naprawdę bardzo mało* – pisze po latach w liście-wspomnieniu Feliksa.

Na stacji zapakowano ludzi do wagonów bydłęcych. Warunki były straszne. Szybko zaczęły ich gnębić wszy, pchły i inne robactwo. Koce służyły za kotary oddzielające kąpiki sanitarne od reszty wagonu. Wśród zażenowania i wstydu zabijano w zesłańcach resztki człowieczeństwa.

W jednym z tych wagonów spotkały się Helena Wysokińska z córką Milusią, Katarzyna Roman z córką Feliksą, szkolna koleżanka Feli Mela Szymańska z mamą i bratem, pani Grunkowska, doktor Turowski z żoną, synem i córką, pani Pęcakowa z rodziną, jej siostra z dwojgiem dzieci, żona komendanta posterunku policji w Kowlu i wiele innych, których nazwiska zatarły się w pamięci...

Po blisko trzech tygodniach podróży dotarli do Kazachstanu.

Komunar Kaczyrski Rejon

Był 5 maja 1940 roku. Wyszli z wagonów i wreszcie odetchnęli świeżym powietrzem. Feliksa zapamiętała, że tego dnia było piękne słońce i ciepły majowy wiatr. Wymęczeni podróżą ludzie korzystali z tego, że mogli położyć się na trawie, wymyć, uczesać, przebrać w czystą bieliznę. Pomagali sobie nawzajem doprowadzić się do porządku...

Emilia z podróży pamięta niewiele.

– *Gorączkowałam, a potem byłam osłabiona. Jedyne co utkwilo mi w pamięci to wrażenie wielkiego huku* – wspomina. – *I tak dotarliśmy do stacji Pawłodar. Tu kończyła się linia kolejowa.*

Ulokowano ich na terenie bazaru ogrodzonego płotem, pod daszkami straganów. Tam mieli odbyć kwarantannę. Tubylcy wspinali się na te płoty i oglądali ich jak małpy w zoo.

– *Miejscowa ludność przyjęła nas nieufnie i wrogo. Nie chcieli z nami rozmawiać, nie próbowali czymkolwiek poczęstować. Stosy wymłóconego ziarna leżące na podwórkach przykrywali różnymi płachtami, bojąc się, że im to ziarno ukradniemy lub czymś zatrujemy* – wspomina w liście do Milusi Feliksa.

Po około sześciu tygodniach zakwaterowano wszystkich do różnych ruder i ziemianek, przydzielając każdej rodzinie małą przestrzeń. W wyniku

trudów podróży, niedożywienia i zmiany klimatu wśród polskich dzieci wybuchła epidemia odry, a w wyniku powikłań – zapalenia płuc. To doprowadziło do masowych śmierci. Pomoc lekarska była ograniczona, choć wśród deportowanych byli polscy lekarze. Nie było leków, jedynym ratunkiem okazały się bańki i okłady. Na odrę zachorowała także Milusia. Na szczęście udało jej się pokonać chorobę.

Pani Helena pracowała przy zbiorze kapusty. W nocy była wzywana do NKWD i przesłuchiwana. Pytano ją o członków rodziny, zwłaszcza o męża. Gdy przekonywała, że nic nie wie, przesłuchanie rozpoczynało się od nowa.

– *Gdy mama stwierdziła, że konstytucja nie przewiduje dręczenia ludzi, usłyszała od enkawudzisty: „ja tobie konstytucją po mordzie dam”. Na pytanie mojej mamy, kiedy wrócimy do Polski? Odpowiedział wskazując na dłoń: „jak mi tu kaktus urośnie”* – opowiada Emilia.

Przy okazji zbiorów kapusty pani Helena otrzymała pierwszą lekcję życia w warunkach Syberii. Kierownik robót powiedział jej szeptem, żeby wzięła sobie kapustę i schowała za pazuchę. Bała się, że to prowokacja, że zostanie oskarżona o kradzież i skazana. Nie wzięła tej kapusty, choć głód doskwierał.

Mieszkały wtedy razem trzy rodziny: Helena Wysokińska z córką Milusią, Katarzyna Roman z córką Felą i pani Siklucka z 7-letnią córką Renią.

Bez własnego miejsca

Życie na zsyłce było ciągłą tułaczką. Z miejsca na miejsce, przerzucani jak worki ziemniaków, bez uczuć, bez sentymentów, trafiali do okolicznych kołchozów i sowchozów do prac polowych. Podróż odbywała się na pakach ciężarówek bez resorów z rurą wydechową nad szoferką.

– *Jechaliśmy pełną drogą nad wysokim brzegiem Irtysza, a ciężarówka niebezpiecznie podskakiwała i zbliżała się do przepaści. Pamiętam, że bardzo się bałam. Grozę potęgowały ryk silnika, dym z rury wydechowej, kurz i odgłos podskakującej na wertepach miednicy, która była wśród naszych bagaży.*

Trafili do kolejnego kołchozu. Zakwaterowano ich w domu kultury. Znowu pojawiło się zbiegowisko miejscowych.

– *Pamiętam, że tam zginęła moja sukienka, która była powieszona na oparciu łóżeczka* – wspomina Emilia.

Tam pani Helena dostała kolejną lekcję życia od kołchoźnic. Na pytanie: Czym tu się pali? Odpowiedziały jej: *kiziakiem* i dodały: *Idź w pobliże studni, tam znajdziesz*. Przy studni nic nie było. Gdy wróciła i stwierdziła to, jej

„nauczycielki” wybuchły śmiechem. Dopiero potem wytłumaczono jej, że ten opał to wyschnięte krowie łajno.

– *Nigdy nie myślałam* – wspomina Feliksa. – *Że będę zbierała krowie odchody. Kazachy nauczyli nas jak je suszyć, składać w pryzmy i używać potem jako opał na zimę...*

Pierwszą zimę spędziły w sowchozie nastawionym na hodowlę bydła. *Mieszkaliśmy w jakiejś chatupie z Felą i jej matką, z Sabinką i jej matką i innymi. Były tam jakieś woreczki z mąką – zapasy z Polski i kuchnia węglowa bez węgla, na której w nocy zamarzała woda* – opowiada Emilia.

Polskie kobiety zajmowały się krowami. Karmiły je, poily, doily i czyściły obory. Feliksa zajmowała się cielętami. Mleko od krów podgrzewało się do 35 stopni i nalewało się do specjalnych poidetek ze smoczkami w kształcie krowiej dójki. Praca niby prosta, ale cały dzień na nogach, bo cielaki tak jak dzieci, musiały być karmione co trzy godziny.

Pewnego razu powrót z wieczorowej zmiany nieomal zakończył się dla niej tragedią. *Rozpoczął się buran – zamieć śnieżna o niewyobrażalnej sile* – wspomina Emilia. – *Wiał silny wiatr i sypał gęsty śnieg. Był siarczysty mróz, który powodował, że człowiek zupełnie tracił orientację w terenie.*

Nie chciała wierzyć staremu Kazachowi, że zamieć jest tak ogromna, że nie trafi do domu, choć ma 5 minut drogi.

– *Nie posłuchałam starszego i ruszyłam w nieznaną. Jednak nie udało mi się skręcić w prawo do domu, wiatr porwał mnie ze sobą. Błądziłam całą noc. Zapadałam się po pas w śniegu, rzucała w czeluście między dachem, a ścianą bazy. Ale świadomość tego, że mogę zginąć, nie pozwalała mi zasnąć. Wiedziałam, że muszę iść dalej, że czeka na mnie moja matka. Modliłam się, śpiewałam pobożne piosenki, litanie do Matki Boskiej itd. Czuwał nade mną Bóg* – wspomina w liście do Emilii Feliksa.

Przez całą noc błądziła między domem a bazą, nie widząc nic. Matka zostawiła zapaloną lampę, aby córka mogła trafić do domu. Kobiety całą noc czuwały, modląc się o szczęśliwy powrót Feli do domu.

Tej nocy zginęło sporo ludzi, szczególnie Polaków, którzy byli nieświadomi, jaką siłę może mieć buran.

– *Jeden z młodych studentów, Tazio Marszał, podobnie jak ja, błądził całą noc. Niestety zasnął. Odnaleziono go i udzielono pomocy, ale został kaleką, amputowano mu palce u rąk i nóg. To był koszmar i wierzę, że uratowała mnie wtedy modlitwa moja i mojej matki z naszymi współlokatorkami, a także moja chęć życia. Rozpierała mnie młodość i silna wiara w powrót do kraju* – wspomina Feliksa.

Do domu przyproceedził Felę ktoś z miejscowych.

– *Była skostniała, oszroniona. Mleko w buteleczce, które niosła za pazuchą dla mnie i innych dzieci było częściowo zamrożone. Pamiętam w butelce drobne igielki. To była ćwiartka, więcej nie dało się ukraść. Kilka osób ratowało ją, rozcierając ręce i nogi śniegiem i polewając gorącą wodą* – opowiada Emilia.

W zimie, która trwała pół roku, mróz dochodził do minus 40-50 stopni. Trudno było oddychać, trudno przeżyć...

Mijały miesiące...

– *Nadzieja nas nie opuszczała. Słyszałam jak dorośli mówili, że na wiosnę wracamy do Polski, a gdyby nie – to jesienią na pewno* – wspomina Emilia.

– *Zbieraliśmy się na modlitwach i rozmowach, dzieląc się wiadomościami z niezliczonych listów, które docierały do nas z Polski. Tymczasem wszyscy starali się jakoś sobie radzić, pomagać nawzajem... I tak aż do następnej jazdy przez step ciężarówką...*

Po mroźnej zimie przyszło upalne lato. I znów trzeba było zamieszkać gdzie indziej.

– *Tam gdzie dotarliśmy, znajdowały się trzy prymitywne budynki: w jednym była kuchnia i stołówka z drewnianymi stołami i ławami z nieheblowanych desek. Drugi budynek służył nam wszystkim za mieszkanie, a trzeci zajmowali miejscowi* – wspomina Emilia. – *Wkoło tych budynków rozciągały się ogromne pola pszenicy i słoneczników.*

Zimę spędzili w sowchozie Bajgunus. Mieszkali w dużym baraku ze sporym piecem po środku. Każda rodzina miała wydzieloną małą przestrzeń, niepozwalającą jednak na żadną intymność.

– *Obok nas kwaterowały starsza pani Bębinkowa i pani Nagowa też starsza, wiecznie cierpiąca, z córką pielęgniarką. Nie pamiętam, czym zajmowała się moja mama. Ja, wychodząc na dwór, obserwowałam topniejący śnieg, który tworzył cieniutką, błyszczącą warstwę przypominającą koroneczkę* – tłumaczy Emilia.

– *Trudy codziennej egzystencji odbierały nam chęć do życia. Miejscowi pocieszali nas: „nie płacz, pomału przyzwyczaisz się i będziesz żyć”* – pisze w swoich notatkach-wspomnieniach Fela.

Wśród Polaków wciąż panował niepokój: z jednej strony dochodziły wieści z frontu o niemieckich sukcesach, z drugiej trwała mobilizacja do armii Andersa. Do żony i córki Feli dołączył pan Franciszek Roman.

Wiosna wybuchła jak zwykle gwałtownie, wywołała topnienie śniegowych zasp. Spływająca woda porywała masę ryb, które wszyscy łowili koszykami, wiadrami, idąc pod prąd.

Pan Roman podjął starania, by z rodziną przenieść się do miasta. Dostał pozwolenie i transport. Zaczął namawiać do wyjazdu też panią Wysokińską. W końcu uległa.

– Zostałyśmy załadowane z bagażami na pakę ciężarówki, przykryte kocami i tak dotarliśmy do Pawłodaru – wspomina.

W Pawłodarze

Pawłodar był niewielkim miastem, malowniczo położonym nad rzeką Irtysz. To tu w 1942 roku zamieszkały rodziny Wysokińskiej i Roman. Już nie razem. Milusia z mamą i panią Pęcakową miały dom przy ul. Abbaja 188, a rodzina Feli wynajmowała ziemiankę u pani Gorbunowej przy ul. Karola Marksa 137 A.

– Byli to bardzo dobrzy ludzie. Nieraz pomagali nam załatwić różne sprawy, kupić coś do zjedzenia. Sami także przeżyli przeprowadzkę z Rosji do Kazachstanu. Opowiadali nam swoją smutną historię. Dawniej byli bogaci, więc zostali przez władzę radziecką „rozkułaczeni” – pisze w swoich notatkach-wspomnieniach Feliksa.

Rodziny rozstały się, ale tylko na chwilę... Mama Milusi rozpoczęła pracę w dawnej fabryce traktorów, która aktualnie produkowała elementy uzbrojenia. Była sprzątaczką w sali produkcyjnej. Zamiatała i wynosiła opiłki żelaza. – *To były moje zabawki* – wspomina Emilia.

Dziewczynka rozpoczęła tymczasem naukę w polskiej szkole, którą wkrótce zlikwidowano. Przyczyną było zaostrzenie stosunków dyplomatycznych między rządami Polski, a ZSSR po wyjściu armii Andersa z Rosji.

– W tym czasie Polacy byli zmuszeni do zrzeczenia się naszego obywatelstwa i przyjęcia radzieckiego pod groźbą kary pozbawienia wolności na okres 2 lat. Mimo to wiele osób nie przyjęło nowego dowodu. Pamiętam, jak bardzo się bałam i jak prosiłam moją mamę „podpisz, tylko podpis”. Ukarani odsiedzieli wyroki, ale nie ustrzegli się przyjęcia niechcianego obywatelstwa – wspomina Emilia.

Do szkoły rosyjskiej zaczęła uczęszczać po ukończeniu 8. roku życia. Pani Helena rozpoczęła natomiast pracę jako pomoc kuchenna w stołówce fabryki. Dzięki niej poznała żonę dyrektora fabryki, której pomagała przygotowywać potrawy i nakrycia na stół dla gości.

– *Tam pierwszy raz w życiu spróbowałam pielmieni – małych pierożków z mięsem w rosole* – dodaje Emilia. Dzięki tej znajomości mama nawiązała też kontakty z żoną dyrektora rzeźni. Pamiętam, że coś z nią wymieniła na kawałeczek słoniny wielkości 4 paczek zapalek...

Po kilku miesiącach rozłąki rodziny Milusi i Feli znów zamieszkały razem. Ulica leżała nad Irtyszem, nie miała bruku i była zabudowana po jednej stronie małymi jednorodzinnymi domami. Drugą stronę stanowił wysoki brzeg rzeki z zejściem do wody. Ziemiańska położona w podwórzu była wynajęta od gospodarzy zajmujących drewniany dom położony przy ulicy. Składała się z jednej dużej izby bez podłogi oraz sieni. Oświetlały ją dwa małe okienka, które znajdowały się poniżej poziomu gruntu.

– *Ogrzewała nas kuchnia połączona z piecem, ulepiona z gliny. Ściany i sufit też były wylepione gliną i pobielone wapnem. Wygódka znajdowała się na zewnątrz. Państwo Romanowie zajmowali kąt za przepierzeniem z koca, Fela miejsce za piecem, a ja z mamą spałyśmy na łóżeczku z dosztukowaną deską i pniaczkami ustawionym nad dołem, w którym trzymaliśmy ziemniaki* – opowiada Emilia.

Znajomość na całe życie

Gdy państwo Romanowie wyjechali, Milusia i jej mama zostały same w ziemiance na podwórzu. Nadeszła kolejna zima i kolejna wiosna. I wreszcie panie Helena razem z córką wróciły z tułaczki do ojczyzny. Najpierw były w Warszawie. Mieszkały w baraku Państwowego Urzędu Repatriacyjnego na Dworcu Zachodnim. Tam odnalazł je wujek kolejarz, który mieszkał gdzieś na warszawskiej Pradze.

– *Mama zdecydowała, że pojedzie do rodziny do Dubienki. Przyjechałyśmy do Chełma. Zatrzymałyśmy się u siostry Feli. Pobyłyśmy u niej kilka dni. Mama wyszła gdzieś do miasta, spotkała kogoś znajomego z Kowla, później zamieszkałyśmy gdzieś na osiedlu Dyrekcji* – wspomina Emilia.

Dzięki siostrze Feli, rodziny, których losy połączyły bydłące wagony na Wschód, znów się spotkały. Fela i Emilia spotykały się przez lata, pisały do siebie listy i spisywały dla siebie sybirackie historie. Odwiedzały się, wysyłały kartki na święta, rozmawiały przez telefon. Tę znajomość mogła tylko śmierć rozdzielić...

Gdyby orłem być, wzrok sokoli mieć gdyby orłem lub sokołem unosić się nad Podolem... Tamtym życiem żyć

Pożółkła fotografia, niemal nieczytelna, a jednak – dzięki maleńkiej karteczce z podpisem *Antek i Janek po zakończeniu wojny. Żagań, 1945.* Równe pismo mamy! To pierwsze zdjęcie w najstarszym albumie rodzinnym, zawierającym zdjęcia z lat 1945-1950. Jest samo na całej stronie, przyklejono je klejem zrobionym z mąki, podobnie jak wspomnianą karteczkę. Tak myślę, że dla mamy to było zdjęcie szczególne, bo przecież odzyskała swoich braci – wrócili do domu z zawieruchy wojennej... Ale wydaje mi się, że trzeba wszystko przedstawić w należyтым porządku. Ja jeszcze tych wujków pamiętam, spędzałam z nimi wiele godzin na rozmowach o przeszłości, usiłując zrozumieć, na czym polegał ich patriotyzm. Uczyłam się pieśni, które ich wiodły przez życie...

Rodzina mojej mamy wywodzi się z miejscowości Skomorochy w dawnym woj. tarnopolskim, pow. Trembowla na Kresach Wschodnich. Mój dziadek, Jan Grabowski, był przez kilka kadencji aż do roku 1933 wójtem tej miejscowości, w której mieszkało, wśród Ukraińców, 11 polskich rodzin, ale byli też Niemcy i Żydzi. Z opowieści rodzinnych utkwiło mi w pamięci, że dziadzio był zamieszany w spór, bo Ukraińcy chcieli mieć własny samorząd, swojego wójta. Mój przodek miał podobno na rozprawie w Tarnopolu powiedzieć, że nawet w domu jest tylko jedna gospodyni, bo wtedy łatwiej wszystkim zarządzać i jest znacznie mniej nieporozumień.

Dwaj bracia mamy, Józef i Kazimierz, jako że mieszkali w Tarnopolu, tam stawili się na wezwanie mobilizacyjne i zostali wcieleni prawdopodobnie do

62. Dywizjonu Pancernego Podolskiej Brygady Kawalerii. Kazimierz wrócił do rodzinnej wioski w październiku 1939 roku, zaś Józef trafił do niewoli. Przez cały okres wojny był przenoszony do różnych oflagów. Kazimierza poszukiwało NKWD. Jak wspominała mama, wielokrotnie w ciągu dnia pojawiali się w domu jacyś ludzie i dopytywali o wujka. Rodzina robiła wszystko, by pozostawał w ukryciu, zresztą stan jego zdrowia nie pozwalał na zbyt ruchliwe życie. Babcia leczyła syna tylko sobie znanymi sposobami i w grudniu mógł się poruszać o własnych siłach tak, by nie wzbudzać żadnych podejrzeń. Wszystko, co by wskazywać mogło na to, że był związany z wojskiem i kampanią wrześniową, zostało dobrze ukryte. Nie mogli się do niczego zbyt mocno doczepić, bo babcia, indagowana o wujka, od początku twierdziła, że nic o nim nie wie, bo przecież mieszkał w Tarnopolu i od wielu lat prowadził własne życie.

Tak więc w Skomorochach, w roku 1939 w domu rodzinnym mieszkali: babcia Anna, moja mama Stanisława oraz wujkowie: Antoni, Kazimierz, Antoni, Jan, Franciszek. Była jeszcze babcia, starsza kobieta, którą przygarnęła rodzina Grabowskich przed wielu laty, kiedy jeszcze żył dziadek. Całym, ok. 50-hektarowym gospodarstwem zarządzał najstarszy z rodzeństwa wujek Antek, babcia dyskretnie pomagała synowi, ale w zasadzie swój gospodarski zmysł umieściła w hodowli drobnego inwentarza (kury, gęsi, kaczkę, perlice) i w ogrodzie warzywnym, i sadzie, gdzie dużą pomocą służyli najmłodsi, a więc Stasia, moja mama, wujek Janek i 8-letni Franek. Organizowała też w gospodarstwie cały system domowego przetwórstwa (do czego przyuczała moją mamę) – przetwarzała mleko, owoce i warzywa oraz ekspediowała wszelkie nadwyżki na targ.

Nie sposób pominąć faktu, że cała rodzina była zaangażowana w polskie życie kulturalne. Wszyscy młodzi działali w polskim domu kultury, organizując lub biorąc udział w przedstawieniach, koncertach pieśni, obrzędach i zabawach tanecznych. Wujkowie z Tarnopola należeli do *Strzelców*. Spojrzenie na fotografię uświadomiło mi, że przed laty, gdy przyjeżdżali w odwiedziny, siadali wieczorami na ganku i we trójkę, w czwórkę lub piątkę (w zależności, ilu wujków przyjechało) śpiewali tamte pieśni na głosy i zawsze mnie dziwiło, że niezmiennie wprowadzali kontekst pieśni, odwołując się do wydarzeń sprzed laty (*Pamiętasz, ile było bisów; a wtedy ciebie, Stasiu, na rękach znosili ze sceny; a to wtedy Kazikowi szabla wypadła z ręki*). Potrafili też całe sceny z przygotowanych przedstawień czy jasełek recytować... Jak ja kochałam te wieczory i noce; siadywałam na małym krzeselku przed nimi i wprost każde słowo spijałam z ich ust... Wędrowały one potem na



Antoni i Jan Grabowscy (Wujek Jan – pierwszy po lewej, Antek – drugi po lewej)

odpowiednie półki w moim sercu, skrzętnie zakryte przed światem, który nie wszystko potrafił wtedy przyjąć z należyтым zrozumieniem.

Po agresji Rosji Sowieckiej, a więc po 17 września 1939 roku, nie było łatwo prowadzić gospodarstwo ze względu na brak rąk do pracy. Jak wspominali wujkowie i mama, wiele rodzin odmawiało pomocy, chociaż to wcześniej *Grabowscy ich zaopatrzyli*. Dotyczyło to rodzin ukraińskich i polsko-ukraińskich, które de facto na drugi dzień po napaści przestały pojawiać się w majątku. Rodzina moja bazowała na pracy polskich rodzin, ale tych nie było zbyt wiele. Radzono sobie jednak na razie w gospodarstwie. Wszystkie prace na czas były wykonane i nawet na wiosnę 1940 roku obsiano i obsadzono pola zgodnie z harmonogramem. Rodzina Grabowskich była w Skomorochach najbogatszą rodziną ziemiańską, jeśli nie liczyć Baworowskich i Potockich, którzy tu mieli swoje dwory i od czasu do czasu spędzali w nich kilka miesięcy w roku.

Po napaści sowieckiej nastroje w wiosce uległy zmianie, wzmożyły się ukraińska agresja i jawne lekceważenie Polaków. Dochodziło do tego nawet, że jacyś ludzie obserwowali dom, a zapytani o powody, wprost odpowiadali, że to do nich niedługo będzie należeć. Pojawiały się też niepokojące wieści, że niedaleko w wiosce wymordowano na oczach ojca Ukraińca polską rodzinę, a na końcu i jego też zastrzelono, bo był już nieprzydatny. Przy okazji Świąt Bożego Narodzenia dotarła do Skomoroch wieść o sposobach

znęcania się nad małymi dziećmi. To wszystko potęgowało strach przed nadejściem niewiadomego. Pojawiły się też napomknienia, że będą wywozić Polaków. A ugruntowały je wydarzenia z lutego 1940 roku, bo przecież faktu wywózki nie dało się zataić. Grabowscy otrzymali informacje, że rodzina przeznaczona jest do deportacji. Te tajne plany zdradził jeden z Ukraińców, którego rodzina zawdzięczała Grabowskiemu bardzo dużo. Człowiek ten jakoś zniknął ze Skomoroch i nikt nie umiał powiedzieć, co się z nim stało.

Babcia należała do osób niezwykle praktycznych, a przy tym bardzo dyskretnych i nieujawniających zbyt swych uczuć. W okresie od marca do kwietnia 1940 roku najściślejsza rodzina pakowała rzeczy w jej mniemaniu najbardziej użyteczne. W skrzyni układano naczynia, sztucce, talerze, garnki, także książki (poza *biblią rodzinną*, w której były spisane najważniejsze wydarzenia z życia rodziny), jakieś narzędzia kuchenne. Skrzynie te ustawione były i tradycyjnie zamknięte w spiżarni, co nie budziło podejrzeń służby, bo tak było zawsze i klucze, zarówno do nich, jak i pomieszczenia, zawsze tylko posiadała babcia. Ponieważ marzec – kwiecień to okres uboju różnych zwierząt, nikogo nie dziwiło żadne działanie w tym kierunku. I wreszcie pościel, pierzyny, poduchy, prześcieradła, ręczniki, zmiany pościeli włożono do tłumoków i umieszczono w sypialni mamy na pięterku, gdzie nigdy nie wchodziła służba ani nikt z obcych. Babcia nie jeździła już na targ z nabiałem, więc przetapiała masło w domu i zlewała do glinianych garnków, podobnie było ze smalcem. Zbożem, mąką i kaszą zajmował się wuj Antek.

Ale w Skomorochach trwała cisza i pewnego rodzaju marazm. Nic niepokojącego ani nowego się nie działo. Aż do nocy z 12 na 13 kwietnia 1940 roku... Około godz. 1 w nocy zaczęły ujadać psy, któryś dość dziwnie zaskowyczał, a do drzwi domu ktoś zaczął się dobijać – zbyt późno i zbyt obcesowo jak na przyjacielską wizytę. Otworzył wujek Antek jako gospodarz domu. Weszło trzynastu intruzów, jeden, zapewne jakiś *starszina*, od razu wszedł do kuchni i usiadł przy stole, pozostali umiejscowili się przy drzwiach i oknach. Wyciągnął plik kartek z kieszeni i polecił, by zebrała się cała rodzina. Wszyscy stawili się, łącznie z przygarniętą babcią, bo tu uważano ją za członka rodziny. Zaczęło się odczytywanie osób i ich danych. Kolejny etap wizyty to informacja, że rodzina zostanie przewieziona w inne miejsce. Następnie przeprowadzony został dokładny spis inwentarza żywego (świnie, krowy, konie, wszelkiego rodzaju drób, cielęta) i dużego sprzętu gospodarczego (młocarnia, tłocznia oleju, młynki i wialnie itp.), po czym sołdat zażądał podpisu, wyjaśniając, że to jest pokwitowanie, dowód,

by starać się o wyrównanie finansowe. Dość dokładnie informował, że teraz to rodzinie już tutaj niczego nie potrzeba, bo wyjeżdżają. Na pytanie o cel wyjazdu i miejsce nikt nie udzielił odpowiedzi, za to poinstruował, że Grabowscy powinni zacząć się pakować, bo mają tylko godzinę czasu. Podkreślono, że nie wolno opuszczać budynku mieszkalnego. Któryś z wujków zapytał, co mają zabrać. Enkawudzista powiedział:

– *Szto chcesz...*

– *Musisz zmieścić to na dwóch furmankach* – uzupełnił drugi.

Cała grupa wybuchła śmiechem. Wtedy nikt z rodziny nie rozumiał tego śmiechu. Nikt z prześladowców nie zajmował się nimi, dwóch stanęło przy drzwiach jednych i drugich, *starszina* siedział przy stole, a enkawudzista z pozostałą grupą ludzi płatał się to tu, to tam. Zaglądali do pomieszczeń, w których przebywał ktoś z rodziny. Pewnie z obawy, żeby ktoś przez okno nie wyskoczył. A rodzina pakowała rzeczy osobiste, koszule, spodnie, sukienki, ręczniki, mydło. Różne rzeczy, które mogły się przydać na nowym miejscu. Pościel i odzież mieli w skrzyniach już spakowane od dawna. Praprababcia Ania zebrała rodzinę i uklękła do modlitwy. Nie przeszkadzali, wreszcie nakazali *sobirajties*, przed dom zajechały dwie furmanki. Wujek Kazik i Antek wynieśli skrzynie i położyli na wskazanej podwodzie. Wtedy zobaczyli, że wokół domu rozstawieni byli jeszcze inni uczestnicy najścia. Koło rozsadnika stali ludzie, sąsiedzi i wyrobownicy, niektórzy płakali. Praprababcia Anna była opanowana, wyszła ostatnia z domu. Wtedy jeden zapytał, czy zabrali jakieś jedzenie. Wskazano na jedną skrzynkę. Kazali ją zabrać do wozu, gdzie siedzieli ludzie. Pozostałych 6 skrzyń polecono opisać imieniem i nazwiskiem, miały jechać w innym wagonie. Zrobił to wujek Kazik, starannie dużymi literami wypisywał chemicznym ołówkiem wskazaną informację. Grabowscy dwoma podwodami zostali odwiezieni na stację kolejową i wsadzeni do wagonów. Do granic wsi odprowadzali ich mieszkańcy, ale i tu nie mogli się z nikim pożegnać. W jednym wagonie bydłęcym musiało się zmieścić 30 ludzi wraz z całym bagażem, który pozwolono im zabrać. Przy drzwiach stanął człowiek w mundurze, uzbrojony w karabin. Przez otwarte jeszcze drzwi mogli oglądać, co się dzieje na zewnątrz. Do „ich” wagonu wsadzono jeszcze kilka rodzin. Rozpoczął się etap zamykania drzwi. Oczywiście, zasuwy znajdowały się na zewnątrz, jak to w wagonach bydłęczych. Po zamknięciu drzwi w wagonie zrobiło się ciemno. Dzieci płakały, bo przeraziły się początkowo ciemności i tuliły się do matek. Oczy powoli przyzwyczajają się, nieco światła sączyło się przecież spod sufitu, bo jakby jedna deska poprzeczna była odbita, stanowiąc

rodzaj kanału wentylacyjnego. Nikt z zewnątrz na to nie zwracał uwagi... Pociąg ruszył... Po chwili ktoś zaintonował „Pod Twoją obronę”. Coraz to śmieiej dołączały do śpiewu inne głosy...

To było nasze pożegnanie z ludzkim światem, z Polską, z naszymi rodzinnymi stronami – mówili po latach wujkowie i mama.

Kilka godzin jazdy uzmysłowiło ludziom, że nie mogą załatwić naturalnych potrzeb. Kiedy pociąg się zatrzymał, łomotali w ściany wagonu, domagając się otwarcia. Jedyną odpowiedzią było warknięcie *tisze*. W wagonie jedynymi mężczyznami byli dorośli wujkowie: Kazik, Antek i Janek, bo 10-letniego Franka raczej do dzieci wypadało zaliczyć.

To oni przy pomocy najwykleszych kozików wydrążyli otwór w drewnianej podłodze gdzieś w rogu wagonu, wykonując w ten sposób prymitywną latrynę. Trudno było mówić o jakiejś intymności, ale potrzeba matką wynalazków i na to został znaleziony sposób: skrzynia została przesunięta w róg, a okrycia stanowiły parawan.

Po raz pierwszy otwarto wagon po dwóch dniach. Pozwolono ludziom wyjść dokładnie na pół godziny. Była to jakaś niewielka stacyjka. Ale już nie polska!... Mogli rozprostować nogi i odetchnąć świeżym powietrzem. Cicho tu było i całkiem bezludnie. Te 30 minut wydały się tylko mgnieniem oka, a już trzeba było wsiadać. Wzdłuż wagonów słychać było *bystrzej, bystrzej*. Podróż Grabowskich trwała dokładnie 30 dni. Nieraz stali na otwartej przestrzeni po kilka godzin. Niby mieli więcej swobody, kiedy opuścili dawne ziemie polskie. Podczas dłuższych postojów mogli opuścić wagon, zaopatrzyć się w wodę, porozmawiać z innymi więźniami tego zesłańczego eszelonu. Wiedzieli, że jadą na pewną zagładę, bo wszyscy tak to odczuwali. W tym transporcie były rodziny wojskowych, policjantów, nauczycieli, działaczy polskich i właściciele ziemskich.

Jeszcze o jednym epizodzie wypada napisać. Jak wspomniałam wcześniej, kazano opisać nazwiskiem duże paki i skrzynie. Zostały faktycznie załadowane do oddzielnego wagonu, następnego po tym przeznaczonym dla ludzi..

– Na jednej stacji już po ruskiej stronie staliśmy podejrzenie długo, nam wolno było poruszać się tylko po stronie otwarcia wagonów, ale wujek Franek, jak to dziecko, jakoś przeczłogał się na drugą stronę, ale natychmiast wrócił z płaczem i powiedział babci, że wynoszą gdzieś ich skrzynie... Kiedy to sprawdzono, babcia Ania podeszła do, jak jej się zdawało, „starsziny” i powiedziała o tym, że ktoś zabiera jej rzeczy – opowiadała prababcia Stasia.

– *Babuszka, czy ty zdurniała, zdies' niczewo twojewe niet* – rzucił jej w twarz.

Po chwili okazało się, że wszyscy zesłańcy z tego eszelonu zostali potraktowani w taki sam sposób, w jednej chwili stali się nędzarami. Teraz dopiero zrozumieli moi krewni ten szaleńczy śmiech podczas pakowania. Całe ich bogactwo stanowiły tobołki i paki, które pozwolono im zabrać do „osobowego wagonu”.

Po miesiącu dotarli na miejsce. Na jakiejś stacyjce wysadzono ich z pociągu i załadowano wraz z całym dobytkiem na rozklekotane ciężarówki. Kilkugodzinna jazda po białym bezkresie zakończyła się postojem i stwierdzeniem:

– *Wot my prijechali.*

– *Gdzie mamy mieszkać?* – zapytał ktoś z transportu – *Jak mamy tu żyć na takim pustkowiu?*

Odpowiedź była błyskawiczna:

– *Was zdies' priwiezli, sztab wy padachli...*

Nikt o nic już nie pytał, 24 ludzi, bo 6 zmarło w transporcie, usiadło na walizkach, nie mając ochoty rozmawiać z człowiekiem, który do nich się zbliżył. Okazało się, że był to *priedsiedatiel*. To on wskazał miejsce zakwaterowania: każda rodzina miała udać się do wskazanej rodziny, mieszkającej w kołchozie. Spotkanie rodzin nie było miłe, bowiem autochtoni mieli narzucone towarzystwo *polskich panów*, którzy tylko umieli krzywdzić biednych ludzi.

Rodzina Grabowskich musiała udowodnić, że zakres jej umiejętności jest znacznie większy niż krzywdzenie biednych ludzi. Mama przyznawała, że to zadanie przerastało siły zwykłego człowieka. Jakoś w kilka tygodni odbyło się wielkie zebranie w sielsowiecie, a brali w nim udział zesłańcy, *predsiedatiel*, *uprawlajuszczij*, zootechnik. W sposób nie budzący wątpliwości wskazano, jaki charakter ma ten kołchoz, jakie stanowiska pracy tu istnieją i że każdy ma prawo do wyboru rodzaju pracy... To wspaniałe wprowadzenie uzupełniono kolejną informacją, że kto nie pracuje, ten nie je; dzieci, osoby stare i chore nie wchodzi zupełnie w rachubę, tym byt zapewnia najbliższa rodzina. Od razu o swoim losie dowiedzieli się też starsi wujkowie: Kazik, Antek i Janek. Ich wyprawiono na step do siana i innych robót polowych, bo przecież nadchodziło lato. Aż do roku 1943 gromadzili siano, pracowali przy żniwach i gromadzeniu opału na zimę. Czasami udawało im się wpaść do mlecznej fermy po to, by babcia i mama wyprały ich odzież i odswzawiły, przynosili czasami jakieś konserwy.

Jakie prace zostały do wyboru? Dojenie krów, dojenie krów i dojenie krów... Te prace do wyboru miało siedem młodych Polek. Co miały robić? Dokonały wyboru, ale jeszcze trzeba było przejść praktyczny egzamin i poznać tajniki zawodu dojarki. W sumie tylko trzy kobiety podołały wymaganiom, chociaż nie doiły zbyt długo, bo popuchły im ręce i tak bolały, że nie mogły doić. Cały tydzień trwało sprawdzanie. Jak ono się odbywało? Nowa dojarka siadała pod krowę i doiła. Po niej sprawdzała stara doświadczona i jeszcze zootechnik. Zasada, jaką kierowali się egzaminatorzy, była jedna: po udoju właściwym nie mogło z dójki płynąć mleko strumieniem, tylko w kropelkach i to niewielu. Po prostu – sprawdzający nie mógł po dojarce udoić więcej niż pół miareczki.

Mama szybko zrozumiała, że krowy stepowe różnią się od tych, jakie doiła w domu rodzinnym. Po tygodniu dojenia dostała swoją grupę 20 krów, dwa wiadra (jedno na wodę do omywania wymion i drugie – na mleko), trzy białe fartuchy, jakieś ścierki i ręczniki. Teraz już wiedziała na pewno, że jest dojarką. Przez sześć długich lat doiła 20 krów trzy razy dziennie bez względu porę roku i pogodę. Wydojenie takiego stada trwało około 3 godzin. Pokonywała trzy razy dziennie ok. 2 km, bo w takiej odległości leżała baza od miejsca zamieszkania. Na pierwszą *dojkę* budzono ludzi o godzinie 4.30 nad ranem. Praca była bardzo ciężka, ale dzięki niej przeżyła babcia Ania, mama Stasia i wujek Franek. Pobyt na zesłaniu nauczył pewnej prawdy, a brzmi ona zupełnie nieprawdopodobnie: *nie weźmiesz cudzego, nie będziesz miał swego*. Nikt nie interesował się losem zesłańców, a wrogość otoczenia zmuszała do takich działań. Co podlegało kradzieży? W przypadku mamy – przede wszystkim mleko. Ale nie tylko. Towarem deficytowym była także sól, a tej pod dostatkiem było przy owcach i cielętach. Jakoś nikomu to nie przeszkadzało, że sól była niemal czarna, oblepiona trawą i ziemią. Ważne, że zupa z nazbieranych na stepie grzybów była nieco osolona. Miała jakiś smak i mogła spełniać rolę prawdziwego pożywienia. Ba, nawet ją zabieliłano, bo mleko odtłuszczone można było sobie zabrać do domu. Prawda, że Polacy byli w dalekiej kolejce po to dobrodzieństwo, ale przecież też im się udawało...

Najkrócej poniżenia skazańca znosił wujek Kazimierz, bo tylko do 1942 roku. Nie bardzo wiemy, kiedy to się wydarzyło, ale musiało mieć miejsce przed listopadem 1942 r., kiedy to armia polska gen. Andersa opuściła ziemie sowieckie, udając się do Iranu. Z armią tą wujek walczył pod Tobrukiem i o Monte Cassino, nigdy nie wrócił do kraju i jako żołnierz wyklęty mieszkał w Anglii i Kanadzie, gdzie zmarł.

Wujkowie ze zdjęcia zgłosili się do organizowanej armii polskiej w okolicach Sielc nad Oką i przeszli cały szlak bojowy od Lenino do Berlina. Po zakończeniu wojny osiedli na zachodnich *ziemiach odzyskanych*, gdzie otrzymali poniemieckie gospodarstwa. W roku 1946 dołączyły do nich babcia i moja mama. One też otrzymały przydział ziemi jako repatriantki. Babcia zamieszkała z synem Antonim, podobnie jak moja mama i wujek Franciszek. W ten sposób wujek Antek stał się właścicielem areалу ziemi i powierzchni niemal 20 ha...

Babcia nigdy się nie pogodziła z tą historyczną zamianą. Ciągłe hamowała zapędy inwestycyjne wujka Antoniego:

- No ty to całkiem zdurniał, przecież pobyt tutaj to okres przejściowy. Jeszcze rok, no może dwa i wrócimy do siebie. A ty chcesz budować dla obcych, ja mam wszystkie dokumenty, dostałam je wtedy w nocy jak nas wysiedlali... Nie pamiętasz?

On dokładnie pamiętał, ale też dokładnie wiedział, że nic już historii nie zmieni, ale z szacunku dla matki milczał i godził się na jej fanaberie, nie chciał jej urazić, zbyt bardzo ją kochał...

Być może to przywołane przeze mnie zdjęcie jest jedynym dowodem udziału rodziny w wydarzeniach historycznych. Szkoda, że ramy regulaminu są takie a nie inne, bo o życiu na zesłaniu we wszystkich jego aspektach zebrałam dość obszerny materiał.

Trudne wspomnienia

Dzieciństwo to chyba najbardziej bez troski i szczęśliwy okres w życiu każdego człowieka. Patrząc na moją młodszą siostrę, mogę to stwierdzić z całą stanowczością. Lubię oglądać fotografie z dzieciństwa. Ostatnio, przeglądając rodzinne zdjęcia, natknęłam się na fotografię mojego dziadka. Zdjęcie zrobiono pod naszą szkołą w Netcie 11 lutego 2008 roku. To była kolejna rocznica upamiętniająca wywózkę mieszkańców wsi Netta Folwark na Syberię. Dziadek stał dumnie w środku i w rękę trzymał sztandar Koła Związku Sybiraków w Augustowie. Wiem, że mój dziadek był Sybirakiem i zawsze brał czynny udział we wszystkich uroczystościach upamiętniających tych, którzy zostali na tej nieludzkiej ziemi. Postanowiłam dowiedzieć się czegoś więcej o moim dziadku i jego dzieciństwie spędzonym na dalekiej Syberii. Niestety, dziadek zmarł



Fotografia wykonana podczas święta szkoły w Augustowie 2002 roku. Bohater Edward Orbik.

6 czerwca 2014 r., gdy miałam dziewięć lat. Najbardziej wiarygodnym źródłem informacji były więc moja babcia Jadwiga – żona dziadka i moja mama.

Mój dziadek – Edward Orbik urodził się 30 maja 1935 r. w Bargłowie. Był najmłodszym dzieckiem Józefa i Józefy Orbików. Jego mama – Józefa zmarła w 1938 r. Wychowaniem dzieci zajmował się ojciec – Józef, który musiał godzić wszystkie obowiązki z uprawą roli. Żyli bardzo skromnie, ale spokojnie. Dziadek miał starsze rodzeństwo – siostrę Helenę, która wyszła za mąż i mieszkała w sąsiedztwie, braci Stanisława, Czesława i Mieczysława oraz siostrę Jadwigę, dwa lata starszą od dziadka.

Wybuch wojny spowodował wielki zamęt i biedę, a wkroczenie Armii Radzieckiej wcale nie poprawiło bytu biednych i licznych rodzin miejscowej ludności. Męża Heleny na początku wojny Niemcy zabrali na roboty do Prus Wschodnich, a ona wróciła wraz z synem Jasiem do rodzinnego domu, żeby pomóc ojcu opiekować się rodzeństwem.

Zaczęły tworzyć się pierwsze organizacje partyzanckie, które chciały stawić czoło okupantom. Dwaj starsi bracia dziadka – Stanisław i Czesław należeli do miejscowej partyzantki. Obaj byli młodzi i chcieli bronić swojej ojczyzny. Stanisław zakochał się w dziewczynie z sąsiedztwa, Irenie, która była bardzo ładna i odwzajemniła jego uczucia. Irena podobała się również innemu chłopakowi, który nie mógł znieść tego, że wybrała Stanisława. Chcąc zemścić się na konkurencie, doniósł do NKWD, że Stanisław i Czesław są w konspiracji. W maju 1941 r. NKWD aresztowało ukrywających się w stodole braci dziadka – Stanisława (21 lat) i Czesława (20 lat). Pradziadek Józef próbował ich wykupić z rąk NKWD, ale było za późno. Przetransportowano ich do Mińska i tam słuch o nich zaginął. Dziadek Edward po 1989 r. próbował ich odszukać, pisząc liczne pisma do Polskiego Czerwonego Krzyża i Archiwum NKWD w Moskwie, niestety bezskutecznie. Przystana odpowiedź brzmiała: *zaginęli na terytorium ZSRR*.

W czerwcu 1941 r. w nocy do drzwi zapukało NKWD i kazało się pakować wszystkim bez wyjątku. Pradziadek Józef spakował co najważniejsze: prowiant, ubrania i różaniec. Wraz z dziećmi: Edwardem, Jadwigą, Mieczysławem, Heleną i jej siedmioletnim synem Jasiem przetransportowano ich na stację w Augustowie. Tak właśnie zaczęła się gehenna dziadka i jego rodziny. Być może gdyby nie płomienne uczucie Stanisława, dziadek nigdy nie zostałby deportowany do ZSRR, ale tego nie możemy być pewni. Faktem jest, że konsekwencje za działalność konspiracyjną poniosła cała rodzina.

Kompletowanie całego transportu zajęło kilka dni. Umieszczano ludzi w bydłowych wagonach, praktycznie bez okien, a drzwi szczelnie

zaryglowano. W wagonie przebywało kilkadziesiąt osób stłoczonych bez wody, żywności i dopływu świeżego powietrza. Trudno mi wyobrazić wśród tego wszystkiego sześćoletnie dziecko, które, zamiast bawić się z rówieśnikami, siedzi wciśnięte w kąt wagonu, nie mogąc się ruszyć. Po południu zesańcy dojechali do Grodna, gdzie doczepiono kolejne wagony. Nadleciały niemieckie samoloty i zaczęło się bombardowanie Grodna i okolic. Wszędzie było słyhać wystrzały i krzyki ludzi. Po przejechaniu Niemna most został zniszczony i to zakończyło wywózkę zesańców. Wagony były ostrzeliwane z samolotów, wśród skazańców było wielu rannych i zabitych. To wszystko było straszne, dziadek jako małe dziecko niewiele rozumiał z tego, co się działo, ale pamiętał ciągle modlitwy, pobożne śpiewy, brak jedzenia i wody do picia. Wiadro wody dostawali w miarę systematycznie, ale jedzenie bardzo rzadko.

Pierwsze góry, które zobaczył dziadek w swoim życiu, to nie były polskie Tatry tylko Ural. Po latach wspominał, jak siedział na pryczy i przez małe zakratowane okno oglądał ośnieżone szczyty Uralu. W końcu po prawie trzech tygodniach uciążliwej podróży dojechali na miejsce. To był ich nowy dom – Krasnojarski Kraj Okręg Chakaski, tysiące kilometrów od domu i Polski. Zakwaterowano ich w jakimś baraku, gdzie mogli chociaż rozprostować nogi i usiąść wygodnie na ziemi. Potem przyjechały ciężarówki i zaczęła się dalsza podróż. Rodzina dziadka trafiła do kołchozu. Zakwaterowano ich u rodziny Chakasów w niewielkiej lepiance. Gospodarze nie byli zachwyceni nowymi lokatorami. Już na drugi dzień wszyscy, którzy mogli pracować, ruszyli do pracy. Ojciec dziadka – Józef kosił trawę, starszy brat Mietek też próbował sił z kosą. Dziadek Edek i jego o dwa lata starsza siostra Jadwiga i siostrzeniec Jan pozostawali pod opieką siostry Heleny. Każdy, kto pracował, otrzymywał przydział chleba 300-400g, ci, co nie pracowali – 150g dziennie. To były głodowe porcje, za dużo żeby umrzeć, za mało żeby żyć. Latem jakoś dało się coś zbierać, a to grzyby, jakieś owoce leśne, czy inną roślinność, którą można było ugotować. Bardzo pomocna okazała się gospodyni ziemianki, która trochę nauczyła ich żyć w tych trudnych warunkach. Siostra dziadka – Helena chodziła z nią i zbierała różne rośliny, które nie raz uratowały życie zesańcom. Najpopularniejsza była pokrzywa. Gotowano z niej zupy i suszono. W czasie żniw wszyscy bez wyjątku wyruszyli do pracy. Dziadek Edek w ramach zabawy zbierał kłosa zbóż i chował je skrzętnie w spodniach. Przynosił do domu i tu w prymitywnych żarnach ścierano to na mąkę i pieczono placki na żeliwnym piecyku. A latem wodę trzeba było przynosić ze strumyka, a zimą zgarniało się śnieg, który topniał

i wody było pod dostatkiem. Najgorsze były owady, które latem gryzły niemiłosiernie, a w lepiankach dokuczały wszy i pluskwy przez cały rok. Jesienią były wykopki ziemniaków. Wszyscy bez wyjątku pracowali, żeby zebrać ich jak najwięcej, bo można było trochę dostać ziemniaków do domu. Część ziemniaków chowano pod ziemią w takich małych kopczykach i pod osłoną nocy zabierano je z pola, żeby mieć zapas na zimę. To była kradzież, ale żeby przeżyć, trzeba było to robić. Lato na Syberii było upalne i trwało tak ze trzy miesiące, a potem od razu spadał śnieg, który utrzymywał się do wiosny. Zimą temperatury spadały do -50°C albo jeszcze niżej. Kiedyś była taka burza śnieżna, która zasypała całkowicie drzwi ziemianki i nie można było wyjść na zewnątrz. Trzeba było najpierw odgarnąć górę śniegu, żeby wydostać się z lepianki. Dziadek Edek nie miał butów, więc zimą nie wychodził na zewnątrz, ale jak już mu się znudziło ciągłe siedzenie w lepiance, to wyskakiwał na zewnątrz i boso biegał po śniegu. Tak mijały dni i tygodnie w głodzie i chłodzie. W 1942 roku cała rodzina przeniosła się do sąsiedniego kołchozu Biei. Tu zamieszkali w ziemiance po rodzinie, która przeniosła się do Abakanu. To był prawdziwy luksus, byli na „swoim”. Ojciec dziadka Józef dostał pracę w młynie, brat Mieczysław miał trzynaście lat i też został pomocnikiem młynarza. To było prawdziwe szczęście, praca była ciężka, ale można było zawsze coś przynieść do domu. Brat dziadka Mieczysław w kieszeniach spodni przemycał trochę mąki lub kaszy, a to już było coś. Dziadek Edek starał się też być bardzo pomocny. Latem gromadził z siostrą Jadwigą opał na zimę. Zbierali krowie placki tzw. *kiziaki* i suszyli na słońcu, żeby zimą można było palić w piecyku. W lesie zbierali chrust. To było ich zajęcie. Ale szczęście nie trwało długo. Zachorował syn Heleny – Jaś, który miał osiem lat. Choroba okazała się śmiertelna. Potem zachorował ojciec dziadka – Józef. Nie mógł już chodzić do pracy i cały obowiązek utrzymania rodziny spadł na Mieczysława. Siostra Helena po śmierci syna nie mogła się otrząsnąć, dopiero choroba ojca sprawiła, że wzięła się w garść i dostała pracę przy dojeniu krów. Ta praca okazało się zbawienna, bo mogła przynieść do domu niewielki kubek mleka. Ojciec Józef powoli wracał do zdrowia. Już wydawało się, że wszystko będzie dobrze, ale stan Józefa nagle się pogorszył i mężczyzna zmarł na początku 1943 roku. Zima wtedy była tak strasznie mroźna, że nie udało się go pochować, zrobiono to dopiero pod koniec maja, jak zaczęły się roztopy. W ten sposób dziadek został sierotą.

Mijały tygodnie i miesiące, a Orbirowie tkwili w tej ponurej rzeczywistości, bez widoków na przyszłość. Żyli nadzieją powrotu do domu. Dziadek

Edward chodził do pracy razem z bratem Mieczysławem. Dostał po nim stare walonki, więc miał już buty i mógł w zimę wychodzić z domu. Praca dziadka to było sprzątanie i zamiatanie młyna. Przy tym zajęciu można było coś dodatkowo zarobić i przynieść trochę zmiotek kaszy i mąki. Po śmierci ojca przewodniczący kołchozu chciał dziadka i jego siostrę Jadwigę zabrać do domu dziecka, ale siostra Helena nie zgodziła się. Wystąpiła o ich adopcję, dając im swoje nazwisko – Jasińscy. To ich uratowało, nadal byli Polakami. Załatwianie formalności trochę trwało, ale to był już rok 1944, gdzie Polacy mogli się swobodnie przemieszczać. Siostra Helena na piechotę przeszła kilkadziesiąt kilometrów, żeby załatwić wszystkie dokumenty. To okazało się bardzo pomocne przy powrocie do Polski.

Dziadek pamiętał koniec wojny. Wtedy było wielkie święto w kołchozie, zesłańcy mieli dzień wolny od pracy. Wszyscy się ściskali i płakali. Polacy liczyli na rychły powrót do domu – Polski. Akcja repatriacyjna trwała długo, bo trzeba było zgromadzić wszystkie potrzebne dokumenty. Dziadek przyjechał na Syberię na nazwisko Orbik, a wyjeżdżał jako Jasiński i to nie bardzo podobało się ówczesnym władzom. Siostra Helena biegała po urzędach, żeby wszystko załatwić i jakoś się udało. Dziadek był jej wdzięczny do końca życia za to, że nie zostawiła ich na tej nieludzkiej ziemi. W maju 1946 roku wsiedli do pociągu, którym wracali do ojczyzny. Dziadek mówił, że to był najszczęśliwszy dzień w jego życiu. Po pięciu latach niewoli i udręki wracali do domu. Dziadek wyjechał jako sześciolatek chłopiec, a wracał tak doświadczony, że niejednen dorosły nie udźwignąłby ciężaru tego, co on doświadczył.

Dziadek chciał kiedyś spisać to wszystko, co przeżył, ale wspomnienia były zbyt bolesne. Przeżycia sprawiły, że miał swoje „pozostałości” po Syberii: nigdy nie jadł zupy szczawiowej, mówiąc, że tej zieleniny najadł się na całe życie, zawsze miał zapas opału i mąki na zimę, a chleb czcił jak największą świętość.

Dzieciństwo dziadka było tragiczne. Cieszę się, że mogłam poznać jego ciekawe losy. Jednego jestem pewna, że my, współczesne dzieci, wychuchane i wypielęgowane, nie dalibyśmy rady tego wszystkiego przeżyć. Jestem dumna, że miałam takiego dziadka. Dla mnie jest i będzie bohaterem. Zostanie na zawsze w mej pamięci i sercu.

Nocą zapukali do nas – wspomnienia Jadwigi Statkiewicz

Droga jest krótka. Szybko podjeżdżamy pod właściwy dom. Zielona elewacja i zadbane ogródki sprawiają dobre wrażenie. Szukamy drzwi wejściowych – są z tyłu. Pani Wioletta bez wahania naciska dzwonek. W progu wita nas starsza pani. To dla niej tu jesteśmy, a właściwie dzięki niej. Widać, że jest zestresowana. Chciałabym ją jakoś ośmielić, ale sama jestem spięta i nie bardzo wiem, co powiedzieć. Spoglądamy z Michałem na siebie i oboje obdarowujemy panią Jadwigę krzepiącym uśmiechem. Prowadzi nas do przytulnego pokoiku. Widzę, że na stole przygotowane jest ciasto, któryś z domowników proponuje kawę, herbatę. Jest ciepło, przyjemnie. Jak u babci. Siadam na sofie z panią Jadwigą, Michał dostawia krzesła dla siebie i pani Wioletty. To ona zaczyna mówić, wie, jak to robić, już nie raz prowadziła takie rozmowy. Myślę, że widzi nasze zdenerwowanie. Zerka na nas z szerokim uśmiechem, który kieruje też do pani Jadwigi. Stara się rozładować napięcie. Spokojnie wyjaśnia, dlaczego tu jesteśmy i czego oczekujemy.

Trzeba głośno mówić to, co przez tyle lat ukrywano! Chcemy wszystko spisać, żeby nie poszło w zapomnienie.

– *Kiedyś więcej pamiętałam... Teraz to już...* – pani Jadwiga urywa w pół zdania. Wyciera dłonie w materiał spodni.

– *Spróbujemy, zobaczymy, do czego uda nam się dobrnąć* – Pani Wioletta wyciąga z torby notatnik. – *Zaczniemy sobie od początku. Pani ma jedno imię?* –

– *Tak, Statkiewicz Jadwiga* – nasza nauczycielka zaczyna notować.

– *Pani data urodzenia?*



Pani Jadwiga druga od prawej, w koszulki w kwiaty. Zdjęcie z Syberii

– *To będzie trzydziesty ósmy, 4 czerwca 1938. Ja się urodziłam w Październicach, tak, Październyce – dokładnie artykułuje nazwę.*

– *Jakieś większe miasto niedaleko?*

– *Ehh... To było... Baranowicze, na Białorusi – widzę, że ciężko jej zebrać myśli, krępuje się.*

– *A rodzice?*

– *Tak, tak... Józef i Maria Szyszko. Tato to – był... był na wojnie. I tam został w Kanadzie, tam pozostał... To jest, wrócił z wojny w czterdziestym szóstym na Białoruś, do nas. No i pracował na roli, tak, na roli. – doskonale słyszę rosyjski akcent w głosie pani Jadwigi – Bo tatuś był kapralem – na jej ustach pojawia się cień uśmiechu. – Mamusia na roli pracowała...*

– *A ma pani rodzeństwo?*

– *Nas to była czwórka... Ale później jeszcze było dwoje rodzeństwa, tam. To było nas sześcioro, tak. Siostra Józefa najstarsza, potem ja byłam – Jadwiga, później Franciszka, Jan, Stanisław i Leon.*

– *No dobrze, więc jak to wszystko było? Wojnę udało się przeżyć spokojnie?*

– *Tak, wszyscy żeśmy żyli, z mamą... Ale to było czwartego sierpnia... nie, nie, czwartego kwietnia, czwartego kwietnia pięćdziesiątego pierwszego*

roku, teraz rocznica będzie... W nocy, zapukali do nas... – grymas bólu prze-
myka przez smutną twarz, oczy przepełniają się łzami. Szybko sięgam po
chusteczki i podaję je pani Jadwidze. Spogląda na mnie z wdzięcznością,
wycierając mokre policzki.

– Powolutku, powolutku...

– Ja przepraszam... Już zaraz, przepraszam... – pani Jadwiga wyciera
oczy do sucha.

– Spokojnie, wszystko w porządku – pani Wioletta obdarza naszą Sybiracz-
kę pełnym zrozumienia spojrzeniem – *W takim razie miała pani już 13 lat?*

– Tak, ja do piątej klasy chodziłam. I w nocy, żeby bardzo wystraszyć...
Przyjechali żołnierze uzbrojeni, odczytali wyrok... Napisałi tak, że zdrajca
ojczyzny, jak to mówili, zdrajca rodziny i że nakaz mają, żeby wywieźć na
odosobnienie, jak to mówili oni, no... wywieźć w głąb Rosji, żeby nie zaszkod-
ził. Tatuś, że on zdrajca, bo był w Wojsku Polskim, u generała Andersa. I to
był dla całej rodziny wyrok.

– A tatuś który był rocznik? Pamięta Pani?

– Tak, pamiętam dobrze, 1906. A mama... to nie pamiętam... Może 1913?
Tylko, że mama umarła – widzę, jak kąciki ust pani Jadwigi zaczynają drżeć
– w czterdziestym siódmym roku – kończy, a jej oczy błyszczą. Łzy spływają
po policzkach Sybiraczki. W pokoju słychać tylko jej cichy szloch. Zakrywa
twarz dłońmi i stara się ocierać policzki pomarszczonymi dłońmi. Myślę
o mojej mamie i przechodzi mnie dreszcz na myśl o tym, że mogłabym
ją stracić jako nastolatka. Pani Jadwiga powoli się uspokaja, czekamy, aż
będzie w stanie kontynuować rozmowę. Po chwili czuję na sobie jej wzrok.

– *Czy rodzice zdążyli się zobaczyć po wojnie?* – pytam cicho a pani Ja-
dwiga kręci przecząco głową, wpatrując się we mnie zaszklonymi oczyma.
A ja w wyobraźni widzę dwie nastolatki, najstarsze siostry, które zostają
opiekunkami i żywicielkami rodziny aż do powrotu ojca z frontu.

– *Tato, jak przyjechał i już mamy nie było... To mieliśmy potem drugą
mamę. I te dzieci, dwoje, to było właśnie od tej mamy, Marty... Szóstka nas
była... a teraz już tylko trójka, ja, siostra starsza i Leon. On to tam się urodził,
nic nie pamięta... I lepiej tak dla niego. Wszyscyśmy wrócili stamtąd razem,
w ósemkę.*

– *A my wróćmy jeszcze do tej feralnej nocy* – pani Wioletta kieruje roz-
mowę na właściwe tory – *Ile czasu mieliście na spakowanie?*

– *Pół godziny tylko. Nic nam nie pozwolili zabrać, żadnych pamiątek, nic.
W piecu było napalone i jak tatuś chciał spakować odznaczenie, bo krzyż
miał z wojska, to ten ruski tylko chwycił i do tego pieca od razu wrzucił.*

Dokumentów żadnych, nawet paszportu. Chcieliśmy zabrać obraz... taki piękny obraz mieliśmy, a ruski tylko na to. A po co ci ten bohomaz? Będziesz się do niego modlił, czy co? i śmiał się tak szyderczo. Tylko mówili, że jak mamy, to chleb brać, mąkę, trochę ubrań, ale nie za dużo. Już nie pamiętam, co myśmy tam wzięli... Koce, jakieś koce żeśmy wzięli. To było tak przerażające, nie do opisania. Przyjechali takim wozem drabiniastym i zawieźli nas do Iwieńca. Kazali się zabrać i do samochodu, i my, i inne rodziny... Nas wszystkich do Baranowicz wywieźli. I tak dużo samochodów tam przyjechało, bo to wieźli wszystkich – z Litwy, Łotwy i Białorusi. I stamtąd już do Grodna, na stację, tam był podstawiony zestaw, pociąg specjalny towarowy. No i zaczęli ładować nas, a tam była moc ludzi z tych samochodów. I do tych wagonów – ile upchali. W takim wagonie to było pięć, dziesięć rodzin. Każdy miał swój kątek i była słoma pościelona... – pani Jadwiga uśmiecha się smutno – Jak było to, było, prawda?

Cisza. Firanka powiewa przy uchylonym oknie. Próbuję przetrwać słowa, które przed chwilą usłyszałam. Zupełne zezwierzczenie człowieka. Boję się tego, co mogę usłyszeć dalej.

– *Toaleta to taka była, że na środku wagonu dziura już była zrobiona. I tyle. Nic okryte, żadnych zasłon. No i nie wiem, nie pamiętam, mnie się zdaje, tak ja już później bardzo myślałam, ale teraz to już nie mam kogo spytać... Bo tak nas wieźli trzy tygodnie, i czy nam coś jeść dawali? Może co jakiś czas jakąś zupę czy co? Wodę to dostawali... tak, kubek czy dwa dziennie. A postoje?... Zawsze stawali tylko w nocy, w takich miejscach, co wysokie nasypy. Żołnierze stawali na te nasypy i... oni wszystko widzieli i z broni mierzyli. I kazali wyjść na pięć minut, tylko broń Boże pod wagon nie wchodzić. No i trzeba było się załatwić, tak żeby każdy... to jest ohyda, ale tak musieliśmy wszyscy przed tymi żołnierzami. A oni się tylko śmiali i tak mówili: „Panowie! Panowie Polacy! Jakie kulturalne, jeden przy drugim robią swoje sprawy!” Takie to przykre było, nie można określić po prostu. A jak kto umarł, to ja tylko słyszałam, że w koc jaki zawinęli i na stacji kolejowej wyrzucili, albo nawet przez tę dziurę, na tory zwyczajnie. U nas, jak żeśmy wyjechali, to kwiecień, ciepło to było jeszcze, bo tam to już mrozy później. Ale tak strasznie tam było w tym transporcie, okropieństwo, tam chyba najgorzej było... jak było na tej słomie. Ale trzeba było przeżyć... Tak nas dowieźli do Irkucka. I tam, po trzech tygodniach do łaźni, żeby się umyć nas dali. Ale ubranie to samo, któreśmy mieli. I z Irkucka już samochodami ciężarowymi nas powieźli, każde w swoją stronę. Myśmy na tajgę trafili. To sam las, nic nie było, tylko w środku wyrębana taka polana i tam postawiony barak.*



Szkoła w Marasach, Pani Jadwiga w drugim rzędzie od dołu, druga od lewej

I w środku jedna rodzina od drugiej taką płytą była odgradzona, tak o, tyle miejsca było – pokazuje dłonią prostokąt, około dwa na trzy metry– A sześć rodzin nas było. Jedna kuchnia też tam była... żeby tam coś ugotować. A ta polana to się nazywała Marasy. Dużo tam Polaków było, dużo... Na samym początku to rodziców zabrali i chyba dwa tygodnie bez jedzenia i picia..., żeby tylko podpisali, że zmieniają obywatelstwo na rosyjskie. Ale nikt się nie zgodził na to. Ja tam poszłam do szkoły, bo miałam wiek szkolny... znaczy... to nie było przymusowe, myśmy z siostrą starszą poszły, ja do szóstej klasy. Blisko było do szkoły.

– *Do tej szkoły chodzili też Rosjanie? –* wzdrygam się na dźwięk głosu Michała, który wyrывa mnie z opowieści.

– *Tak, tak... Ale ja nie powiem, żeby mi tam źle było w szkole, było dobrze. Wszyscy jakoś tak równi byli... nauczyciele bardzo dobre byli, jakie to były dobre ludzie... Tylko ja to ciężko trochę... bo chodziłam do szkoły na Białorusi a tutaj to język nowy, gramatyka... A jak Stalin zmarł, to oni wszyscy tak płakali... I ja też płakałam, wszyscy musieli, ja też płakałam po Stalinie. Ze szkoły to mam pamiątkę taką, że mam zdjęcia. A rodzice to mieli bardzo ciężko... W lesie pracowali, identyko jak był ten film, no, „Syberiada”, identyko tak samo, przy ścinie drzewa. I ja też jak tylko szkołę skończyłam, to też do*

pracy poszłam. To nie było co siedzieć, bo jak człowiek siedział, to jedzenia nie dostawał. A tak za dzień pracy był chleba bochenek. Nie takie wielkie bochenki jak teraz, taki mały chlebek i z tych chlebów cała rodzina musiała wyżyć.

– Co z dziećmi, kiedy rodzice szli do pracy? – pytam. Od razu przychodzi mi do głowy, że pewnie jakaś starsza osoba zajmowała się maleństwami.

– Nic. Chodziły tak sobie, czekały aż rodzice wrócą, nikt się tam nimi nie zajmował. Każdy miał swoje, nie było pomocy. Mama Marta tylko jak urodziła dwoje, to nie chodziła do pracy.

– A jak z religią? Można było iść do kościoła?


– Tam nie było kościołów, nie... Myśmy byli katolicy... Ale czy tam kto się modlił? – zauważam samotną łzę spływającą po policzku pani Jadwigi – Dzieci, jak się urodziły, to też były dopiero tutaj, w Polsce chrzczone... Tak sobie myślę jeszcze, że jak rano się szło do pracy, to się dostawało wody, kromkę chleba i ziemniaka jednego. Głód był straszny, straszny. Ale za to latem to już było lepiej, latem było dobrze, bo to i jagody były, jak to mówią... czeremsza...? Takie jak szczaw podobne też...zupełnie ugotować. Ale strasznie było, mięsa żadnego. Przez pierwszy rok to było najgorzej, nic nie chcieli dawać, nie było jedzenia. Z wodą to przyjeżdżał beczkowóz. Zimą było źle, bo to wszystko marzło, minus pięćdziesiąt stopni było... to jak się wyszło na dwór, to tylko się patrzyło, czy ręce i nogi nie zamarzły. Później trochę, jak Stalin zmarł, to już było lepiej, coś pieniędzy troszkę zaczęli dawać, jedzenia można było dokupić – niedużo, tylko odrobinę. A jak już pracować zaczęłam, to wpieryw wysłali mnie na drogi, bo jak dziury były i deszczu napadało, to trzeba było wodę z tych dziur szpadlem wylewać. Potem to z jedną panią na składnicy drewna byłam... I taką piłą żeśmy od rana piłowały pieńki. I wszystko na traktory, bo oni to jako paliwo używali, zamiast ropy... A ręce tak bolały... Dotąd jak się pomyśli, to bolą.

– Męża poznała Pani już w Polsce? – z zadumy wyrывa nas pani Wioletta.

– Tak, tutaj... Ale on też na Sybirze był, tak jak ja. Nawet wyrok mieli ten sam, bo jego tato, teść mój, też był pod Monte Cassino u Andersa, tak jak mój tatuś. Mąż mój, Leon Statkiewicz, pochodził też z Białorusi, tylko on koło Grodna a ja bliżej Mińska. Rok starszy był ode mnie. Na Syberii to on na traktorze pracował, najpierw trochę w szkole był, ale zaraz do pracy. I też przyjechał do Polski z rodziną tak jak i my, w tym samym czasie.

– Jak wyglądał powrót? Państwo ubiegaliście się o, jakieś dokumenty? – Michał ciągnie temat przyjazdu do Polski.

– Nie, to inaczej było. W pięćdziesiątym piątym roku tatuś mój pracował na budowie jako stolarz, bo stawiali nowy barak. I przyszło od polskich władz


POLSKA RZECZPOSPOLITA LUDOWA
 Pełnomocnik Rządu do Spraw Repatriacji
Punktu Repatriacyjnego
 w Nowym Sączu

KARTA REPATRIACYJNA Nr 4466

Ob. Szysko Jadwiga córka Józefa
(nazwisko, imię, (nie ojca)
4. VI. 1928 Państwo Rosyjskie
(rok i miejsce urodzenia)

przybył(a) do Polski z Z.S.R.A.

wraz z _____ nieletnim(i) (do lat 16) dzieckiem(ami) _____
(podać nazwisko, imię i wiek dziecka(i))

Dnia 18 grudnia 1954 r.

Obecnie udaje się do Przytułek Cielinka pow. Lubice woj. Zielona Góra
(dokładny adres)

Zgodnie z Uchwałą Prezydium Rządu Nr 739/55 z dnia 10 września 1955 r. Prezydium Rad Narodowych, instytucje państwowe, gospodarcze i społeczne proszone są o udzielenie jak najdalej idącej pomocy okazielowi niniejszego zaświadczenia.

KIEROWNIK PUNKTU REPATRIACYJNEGO

Wydano dn. 19 grudnia 1954 r.

U W A G A : Okaziciel niniejszego zaświadczenia obowiązany jest zameldować się w ciągu 24 godzin po przybyciu na miejsce zamieszkania.

169.9.12

Karta Repatriacyjna wydana w Nowym Sączu w 1955 r.

rozporządzenie, że mają ludzi do Polski wysyłać. I to było tak szybko, zaraz były samochody podstawione i już jechaliśmy. Jeszcze tylko jeść nam dali, dużo, żebyśmy głodni nie byli. Zawieźli do Irkucka i stamtąd już pociągami, ale to inaczej, to już lepiej było, jak ludzie jechaliśmy. I do Nowego Sącza nas dowieźli, tam pani w punkcie repatriacyjnym nam wydała pierwsze dokumenty, kartę repatriacyjną każdy dostał. Jak żeśmy dwunastego grudnia wyjechali, to osiemnastego już w Polsce byliśmy... zaraz te dokumenty... i skierowali nas tutaj, gdzie cały czas mieszkam, na wieś. I jak już nas tu dowieźli, to z tego piekła...człowiekowi się wydawało, że do nieba trafił. Ale tutaj ludzie też inaczej traktowali. Na Sybirze nie byliśmy Rosjanami, tutaj nie byliśmy Polakami. Tam to wołali do nas „Co się cieszysz, połocka mordzo?” Tak bardzo ciężko tam było... I strach, i głód... Nic się nie rozmawiało o tym, ani z mężem, z siostrą, nic. Tak jakby nic się nie zdarzyło, takie to było straszne, że się nie dało mówić. Jedynie co tam dobre, to czyste powietrze, bo tam nic – ani samochodów, nic, tylko tajga, sam las. A latem, jak tam wszystko kwitło, pięknie, pięknie. Takie kwiaty, jak w bajce... – zamiera na chwilę, mam wrażenie, że wraca do tamtych widoków – To ja zdjęcia pokażę jeszcze – otrząsa się i zaraz przynosi kopertę.



РосФСР

Министерство Просвещения

СВИДЕТЕЛЬСТВО

НАСТОЯЩЕЕ СВИДЕТЕЛЬСТВО ВЫДАНО

Шмико Яковле Ивановиче
(фамилия, имя и отчество)

РОДИВШЕ 03.08 В 1933 ГОДУ, В ТОМ, ЧТО ОН в
ОБУЧАЛСЯ В Морской
(название школы)

СЕМИЛЕТНЕЙ ШКОЛЕ пос. Морочья Яранского
района Иркутской области АССР
(село, город)
(района и край области АССР)

ПОЛНЫЙ КУРС ЭТОЙ ШКОЛЫ В ТЫСЯЧА ДЕВЯТЬСОТ
пятьдесят ГОДУ И ОБНАРУЖИЛ в
ПРИ отличном ПОВЕДЕНИИ СЛЕДУЮЩИЕ ЗНАНИЯ:

ПО РУССКОМУ ЯЗЫКУ И ЛИТЕРАТУРНОМУ
ЧТЕНИЮ 3 (три)

„ АРИФМЕТИКЕ 3 (три)

„ АЛГЕБРЕ 3 (три)

„ ГЕОМЕТРИИ 3 (три)

„ ЕСТЕСТВОЗНАНИЮ 4 (четыре)

„ ИСТОРИИ 4 (четыре)

„ КОНСТИТУЦИИ СССР 5 (пять)

„ ГЕОГРАФИИ 4 (четыре)

„ ФИЗИКЕ 3 (три)

„ ХИМИИ 4 (четыре)

„ ИНОСТРАННОМУ ЯЗЫКУ (нема) 4 (четыре)

В № 110422

21 июля 1953 года

ДИРЕКТОР ШКОЛЫ

УЧИТЕЛЯ: Самоева
В.И.Иванова



Swiadcetwo szkolne
wydane w 1953 r.

Delikatnie wyciąga fotografie i na każdym pokazuje swoją twarz. Większość to zdjęcia szkolne. Jest też zdjęcie męża pani Jadwigi, zrobione na Syberii z młodszą siostrą. W kopercie są też dokumenty. Widzimy oryginał karty repatriacyjnej, karty ewidencyjnej repatrianta.

O, tutaj świadectwo moje z Sybiru – śmieje się pani Jadwiga. – Stabiutki bardzo, wstyd pokazywać. Język rosyjski – trzy – z uśmiechem na ustach tłumaczy nam dokument – arytmetyka, algebra i geometria – trzy, jaki wstyd...

– Żaden wstyd, trzeba było nauczyć się od podstaw całego języka, jest dobrze! – przekonuje nasza nauczycielka.

Historia – 4, konstytucja – 5, zobaczcie, nawet hymn umiałam rosyjski! Geografia – 4, fizyka – 3, chemia – 4, język niemiecki – 4. To jest świadectwo z pięćdziesiątego trzeciego roku – czyta pani Jadwiga.

Do pokoju zagląda pani Agnieszka, synowa pani Jadwigi. Siada z nami i chwilę jeszcze rozmawiamy na temat codziennego życia pani Jadwigi.

Zawsze tylko mama nam mówiła, że był straszny głód tam. I z tego różne nawyki się biorą. Przyzna mama, że jeszcze się zdarza do kieszeni chleb włożyć i skubać w ciągu dnia... – mówi smutno pani Agnieszka.

Zapada cisza. Zerkam na panią Jadwigę i dostrzegam samotną łzę spływającą po jej policzku. Po chwili słyszę jej cichy głos.

– Żeby tylko chleba nie zabrakło...

Helena z Miłkowskich Ambrożewska Kosińska – syberyjska tułaczka skrom- nej szlachcianki i koleje losu jej rodziny

Często patrzę na zdjęcie zaprezentowane na stronie tytułowej. Jest bardzo stare. Stanowi ważną pamiątkę w mojej rodzinie. Zostało wykonane na Syberii. Przyjechało stamtąd. To zdjęcie mojej prababci.



Nazywam się Milena Kosińska i mam 12 lat. Helena z Miłkowskich Ambrożewska Kosińska, to moja prababcia, babcia mego taty Marka Kosińskiego i matka mego dziadka Bolesława Zbigniewa Kosińskiego. Kiedy zmarła, byłam małą dziewczynką, ale pamiętam ciepło i spokój, jaki od niej zawsze płynął. Pamiętam prababcię jako drobną, pogodną kobietę z laseczką i aż trudno mi uwierzyć, że los tak bardzo ją doświadczył. Nikt patrzący z boku nie pomyślałby, że aż tak wiele doświadczyła, tak wiele wycierpiała. Moi dziadkowie i rodzice mówią, że niezależnie od tego, co się działo, prababcia

Helena zawsze z ufnością patrzyła w przyszłość. Była osobą głęboko wierzącą i dzięki temu była silna. Nigdy nie poddawała się przeciwnościom losu, chociaż ten był dla niej wyjątkowo okrutny. Życie prababci Heleny

jest ważnym elementem historii mojej rodziny i bardzo bym chciała, aby pamięć o tym, co kiedyś się wydarzyło, była przekazywana z pokolenia na pokolenie. Prababcia chętnie i ze szczegółami opowiadała o losach swoich i najbliższych. Powracała wspomnieniami do zdarzeń z przeszłości, które zmieniły wszystkie jej plany i zamiary. Była świadkiem wydarzeń, które wpłynęły nie tylko na życie jej samej, ale i całej Polski. Prababcia Helena jest dla mnie wzorem siły, pobożności i pogody ducha i dlatego właśnie o niej chcę opowiedzieć.

Rodzinne korzenie Heleny

Helena z Miłkowskich Ambrożewska Kosińska urodziła się 6 maja 1921 r. we wsi Sieniewice w gminie Drohiczyn. Jej rodzicami byli Franciszek Miłkowski i Julia Miłkowska wywodząca się ze szlacheckiego rodu Zaleskich¹ z majątku w Miłkowicach. Dziadkami Heleny byli: Józef Zaleski i Marta Zaleska (Kłosewicz), a pradziadkami: Karol Jan Zaleski i Barbara Zaleska (Wiszniewska). Karol Jan Zaleski urodził się w Ostrożanach, kiedy jego rodzice Adam Zaleski i Magdalena Zaleska (Rzążewska) pojechali z wizytą do hrabiego Cicierskiego, stolnika ziemi drohickiej. W dokumencie chrztu podano, że urodził się 9 listopada 1797 r. i był ochrzczony z wody przez proboszcza parafii ostrożańskiej. Dopełnienie chrztu odbyło się w kościele parafialnym w Siemiatyczach². Do chrztu Karola Jana trzymali: Karol Urbański podstoli ziemi drohickiej z Elżbietą Zaleską sędzią ziemi drohickiej oraz Ignacy Kuczyński chorąży ziemi mielnickiej z żoną. Z metryki urodzenia Karola Jana wynika, że jego rodzice mieszkali we wsi należącej do dóbr książęcych ziemi siemiatyckiej pod zaborem pruskim, zwanej Furstendorf – wieś książęca. Karol Jan dzieciństwo i młodość prawdopodobnie spędził w Siemiatyczach. W 1816 r., gdy skończył 18 lat, rozpoczął pracę w sądach grodzkich w Drohiczynie, gdzie pracował do 1832 r. Pracował we wszystkich działach sądu grodzkiego. Był kolejno: kancelistą, archiwariuszem, kolegialnym registratorzem, sekretarzem gubernialnym, sekretarzem kolegialnym i radcą tytularnym. W 1822 r. ożenił

¹ Według relacji mego dziadka Bolesława Zbigniewa Kosińskiego w naszej rodzinie nazwisko Zaleski przyjmowało różne brzmienie. W zależności od pokolenia spotyka się: Zaleskich, Zalewskich, Zalesskich.

² Metryka Karola Jana Zalewskiego, syna Adama i Magdaleny z Rzążewskich, Furstendorf 1/b/4/ 1797(8) s. 81.

się z Wiktorią Czarnocką z parafii Winna. Świadcami byli: Adam Zalewski – ojciec Karola Jana i Józef Heydatel – lekarz medycyny i opiekun szpitala położniczego za czasów księżnej siemiatyckiej Anny Jabłonowskiej³. Małżeństwo z Wiktorią nie trwało długo, ponieważ zmarła ona po urodzeniu pierwszego dziecka. Karol Jan długi czas pozostawał wdowcem, bo aż do 53 roku życia. Dopiero potem ożenił się z Barbarą Wiszniewską – prababcią Heleny Kosińskiej. W archiwum diecezji drohiczyńskiej znajduje się akt dziekana bielskiego o sygnaturze 1m/15 rok 1848 str. 36 akt 18/1948, z którego wynika, że 20 października 1848 r. w drohiczyńskim kościele parafialnym pobłogosławiony został związek koleskiego asesora Karola Jana Zalewskiego i Barbary Wiszniewskiej, panny lat 25. Na ślubie obecni byli między innymi rodzice Karola Jana – Adam i Magdalena z Rzązewskich. Karol Jan zmarł z 1875 r. Zgodnie z odpisem aktu dziekana bielskiego metryki zgonu parafii Drohiczyn (sygnatura 1D/40s.59 nr 27 1875) 20 kwietnia 1875 r. w majątku Miłkowicach Paszkach zmarł Karol Zalewski, który był szlachcicem i honorowym radcą. Zostawił wdowę Barbarę Wiszniewską i dzieci: Wiktora, Wincentego, Karola Piotra, Karolinę, Adama, Józefa Stanisława⁴. Józef Stanisław Zalewski – dziadek Heleny Kosińskiej urodził się jako najmłodszy syn Karola Jana, gdy jego ojciec miał 61 lat. Jak podaje jego metryka urodzenia, 28 sierpnia 1859 r. we wsi Miłkowice Maćki urodził się syn szlachciców Karola i Barbary z Wiszniewskich, Zalewskich. Dziecko zostało ochrzczone w Drohiczynie⁵. Józef Stanisław dorastał w okresie postania styczniowego i reformy uwłaszczeniowej chłopów. Gdy miał 16 lat, w wieku 77 lat zmarł jego ojciec Adam. W trzy lat po jego śmierci w 1878 r. ożenił się z Marią Kłosewicz, córką rejenta z Siedlec. Razem z Marią mieli sześcioro dzieci: Zofię, Helenę, Marię, Karola i Julię – matkę Heleny Kosińskiej. Julia Zalewska urodziła się w 1889 r. Nigdy nie poznała swojej matki, która zmarła zaraz po jej urodzeniu. Julia żyła 70 lat. Zmarła w 1959 r.⁶ Ojciec Julii – Józef Stanisław zmarł 9 lipca 1906 r. w wieku 47 lat w majątku Miłkowice Paszki⁷.

³ Józefa Zaleska, Świadectwo czasów. Kronika rodzinna, Warszawa 2003 – maszynopis niepublikowany, s. 15-16.

⁴ Józefa Zaleska, Świadectwo czasów. Kronika rodzinna, Warszawa 2003 – maszynopis niepublikowany, s. 17.

⁵ Zespół akt dziekana bielskiego, księga chrztów parafii Drohiczyn, sygnatura T/B/27 Nr 73/1859, s. 115.

⁶ Józefa Zaleska, Świadectwo czasów. Kronika rodzinna, Warszawa 2003 – maszynopis niepublikowany, s. 20.

⁷ Zespół akt dziekana bielskiego z księgi zgonów parafii I/D/75 Nr 28/1906, s. 643.

Rodzice Heleny Kosińskiej, mieszkając w Sieniewicach, uprawiali 30 hektarowe gospodarstwo rolne. Gdy mała Helenka miała trzy lata, jej ojciec sprzedał gospodarstwo rolne i całą rodziną przeprowadzili się do Zajęcznik, gdzie na kolonii kupili nowe 45 hektarowe gospodarstwo. Helena miała trzech braci: Waclawa, Kazimierza i Henryka.

Szkołę Powszechną ukończyła w Drohiczynie pod kierownictwem niezapomnianego nauczyciela i wychowawcy Piotra Ruczaja. Następnie wyjechała do Wilna do stryja Zygmunta Miłkowskiego, który był księdzem w parafii Suderwa w okolicy Wilna. Ukończyła tam trzyletnią Szkołę Przysposobienia w Gospodarstwie Rodzinnym prowadzoną przez siostry zakonne. Do domu wróciła wiosną 1939 r. i niedługo potem poznała swego przyszłego męża Antoniego Ambrożewskiego. Wyszła za mąż w styczniu 1940 r.

Rodzina Ambrożewskich

Prababcia Helena wielokrotnie opowiadała, że wyszła za mąż z prawdziwej, wielkiej miłości. Jej mąż Antoni był od niej o dziesięć lat starszy. Miał ukończone cztery klasy Gimnazjum w Drohiczynie. Po ślubie zamieszkali razem z rodzicami Antoniego (Waclawem i Wiktorią Ambrożewskimi) w ich 10 ha gospodarstwie rolnym. Waclaw Ambrożewski oprócz tego, że był rolnikiem, to również znakomitym fachowcem w murarstwie. Jako człowiek bardzo operatywny w latach dwudziestych był burmistrzem Drohiczyna. W 1933 r. interweniował wspólnie z ówczesnym księdzem Pietrzykowskim w ministerstwie w Warszawie w sprawie likwidacji gimnazjum w Drohiczynie. Przyczyną likwidacji był pożar budynku szkoły. Uczniów zamierzano przenieść do Bielska Podlaskiego. Dzięki Waclawowi Ambrożewskiemu gimnazjum drohicyńskie nie uległo likwidacji. Budynek po pożarze został odbudowany przez społeczeństwo. Angażował się w to również ojciec Heleny Franciszek Miłkowski, wspierając prace nieodpłatnym przekazaniem cegieł oraz pracą własną, koniem i furmanką.

Mąż prababci Heleny Antoni miał dwie siostry i brata. Jedna z sióstr Waclawa wyszła za mąż za Jana Płataka, nauczyciela w gimnazjum drohicyńskim. Był on jednym z pierwszych nauczycieli aresztowanych przez Sowieców. Druga natomiast Maria zamieszkała w Warszawie, ponieważ wyszła za mąż za urzędnika Bolesława Górkę. Mąż Marii zginął potem w powstaniu warszawskim. Brat Antoniego Lucjan natomiast w chwili wybuchu II wojny światowej był w ostatniej klasie miejscowego gimnazjum. Prababcia często wspominała, że z teściami żyła w wyjątkowej zgodzie

i uważała, że stanowią jedną dużą rodzinę Ambrożewskich. Nawet gdy do Drohiczyna wkroczyli Sowieci i robili spis ludności, na wykazie umieszczona została tylko jedna rodzina Ambrożewskich. Niestety właśnie przez to całą rodziną zostali zesłani na Sybir⁸.

Wojna i trudy dnia codziennego

Chyba nie było w historii Drohiczyna tragiczniejszego okresu, jak czas drugiej wojny światowej. Miasteczko, które kiedyś było stolicą województwa, zniszczone zostało w 60% w zabudowie. Liczba mieszkańców spadła z 2,8 tys. w 1939 r. do 1,634 w 1946 r. Cierpień ludzkich i ofiar nie sposób zmierzyć w jakikolwiek sposób. Prababcia Helena była przymusowym świadkiem tamtych zdarzeń.

W czasie działań wojennych, na skutek paktu Ribbentrop-Mołotow na rzece Bug przepływającej przez Drohiczyn ustanowiono granicę pomiędzy Niemcami i Związkiem Radzieckim. W konsekwencji wojska sowieckie na długo zagościły w mieście. „W pasie granicznym o szerokości 800 metrów od rzeki znalazła się większa część miasteczka. Ze śródmieścia i z rynku zniknęły domy i budynki, rozebrane po nakazie wydanym przez sowieckie władze okupacyjne. Pozostały tylko zabytkowe, barokowe świątynie i budynki klasztorne, zamienione na stajnie dla koni straży granicznej, magazyny cementu, areszty dla ofiar i siedziba stacjonujących tu wojsk pogranicza oraz władz NKWD.(...) wobec ludności zastosowano nieludzkie represje. Dla umocnienia granicy, wykorzystując niewolniczo pracę ludzi, zbudowali Sowieci wzdłuż linii Bugu bunkry żelbetonowe, z których sześć znalazło się w obrębie samego Drohiczyna. (...) Drohiczyn wraz z terenami za Bugiem przeszedł pod okupację niemiecką”⁹. Prababcia Helena wiele razy wspominała, że z powodu pasa granicznego razem z teściami musiała przyjąć do mieszkania dwie rodziny, kuzynów męża, bo ich domy stały na wspomnianym pasie. Warunki wtedy nie były najlepsze. Prababcia mówiła: *To było lato i jakoś się żyło. W takiej biedzie trzeba było pomóc bliźniemu*¹⁰.

⁸ Helena Kosińska, *Moja wojenna tułaczka na Syberii*, maszynopis opublikowany w: *Wojenne losy drohiczyniaków*, red. Barbara Mioduszevska, Drohiczyn 1997, s. 136-137.

⁹ *Wojenne losy drohiczyniaków*, red. Barbara Mioduszevska, Drohiczyn 1997, s. 7.

¹⁰ Relacja ustna Heleny Kosińskiej zasłyszana przez syna Bolesława Zbigniewa Kosińskiego.

W kwietniu 1940 r. Sowieci rozpoczęli czystkę, wywozili sekretarzy gmin, leśników i policjantów¹¹. Prababcia Helena wspominała, że ludzie bardzo różnie reagowali na spotykające ich represje. „Leopold Borecki, profesor, który uczył w gimnazjum, w obawie przed aresztowaniem uciekł na stronę niemiecką. Niektórzy uczniowie czuli się zagrożeni i szli w jego ślady”¹². Brat prababci męża – Lucjan Ambrożewski umówił się z czterema kolegami i w maju 1940 r. w nocy postanowił przepłynąć na drugą stronę rzeki Bug. Nie poinformował rodziny o swoich planach. W noc kiedy mieli wyruszyć, nie spał nawet w domu, ale razem z kolegami w stodole. Plany Lucjana nie powiodły się. Razem z kolegą został złapany na Bugu przez Sowieców. W efekcie aresztowano ich i osadzono w areszcie, który urządzono przy kościele Świętej Trójcy w Drohiczynie. Następnie wywieziono ich do Archangielska. Zapewne przez działanie Lucjana rodzina Ambrożewskich została zauważona przez Sowieców. Po wywiezieniu Lucjana rodzinę wielokrotnie odwiedzała w nocy straż graniczna i sprawdzała, czy ktoś z rodziny nie uciekł. Między innymi z uwagi na ucieczki Sowieci przeprowadzili spis ludności. Odnotowano w nim tylko jedną rodzinę Ambrożewskich. Młodzi Helena i Antoni, żyjąc w zgodzie z rodzicami, nie widzieli powodów, by podawać Sowiecom inaczej. Nikomu przez myśl nie przeszło, że może to być zgubne dla jej członków. Nikt nie pomyślał, że mogą przez to trafić do Rosji¹³.

¹¹ Łucja Cichocka, *Jak ginąć – to razem!*, w: *Wojenne losy drohiczyniaków*, red. Barbara Mioduszevska, Drohiczyn 1997, s. 121.

¹² Helena Kosińska, *Moja wojenna tułaczka na Syberii*, maszynopis opublikowany w: *Wojenne losy drohiczyniaków*, red. Barbara Mioduszevska, Drohiczyn 1997, s. 137.

¹³ Relacja ustna Heleny Kosińskiej zasłyszana przez syna Bolesława Zbigniewa Kosińskiego.

Wojenna tułaczka Heleny na Syberii

20 czerwca 1941 r. o godzinie piątej rano, Sowieci zapukali do drzwi domu Ambrożewskich. Krzyczeli, żeby otworzyć. Rodzina dostała 15 minut na spakowanie się. Krzyk i płacz przywołał sąsiadów, którzy pomogli załadować rzeczy na furę. Wszystko działo się bardzo szybko. Prababcia Helena mówiła, że zdążyła tylko zabrać bieliznę osobistą i pościelową swoją i męża, a Sowieci, wciąż pokrzykując, poganiali pakujących się. Próbowwała tłumaczyć, że ona z mężem są drugą rodziną, ale nikt jej nie chciał słuchać. Kazali pisać do Stalina do Moskwy. Tego dnia wywieziono z Drohiczyna wiele rodzin. Wszyscy ludzie stłoczeni zostali na stacji kolejowej w Siemiatyczach. Na peronie stały już wagony. Nie były to wagony osobowe, ale towarowe, bydłące, potwornie brudne. Prababcia Helena mówiła, że do jednego wagonu ładowano dużo rodzin, przez co w środku był potworny ścisk. Na podłodze wagonu leżał cały dobytek ludzi. Ludzie siedzieli na nim. Stali na zmianę, bo nie było miejsca. Wagon, do którego załadowano rodzinę Ambrożewskich, miał tylko u góry małe okienka. Został zamknięty na sztaby, aby nikt nie miał możliwości ucieczki. Pociąg ruszył wieczorem. Po drodze modlono się, śpiewano pobożne pieśni. 22 czerwca 1941 r. pociąg dotarł do Mińska, a następnie przez Swierdłowsk, Omsk, Czelabińsk, aż do Nowosybirsk. W Nowosybirsku zesłańców wyładowano z wagonów. Okazało się, że na rzece Ob czekają na nich statki. Prababcia wspominała, że nad rzeką stał stół przykryty czerwonym materiałem, za którym siedział przedstawiciel NKWD. Sprawdzone wagonami, czy wszyscy są obecni i załadowano na statki. Ludzie obawiali się najgorszego. Płynęli rzeką Ob, nie widząc ani ptaków, ani brzegu, tylko wodę i niebo. Następnie po przeładowaniu ludzi z dobytkiem na mniejsze barki, płynęli dopływem Obu, Parabel. Płynąc Parabel, ludzie musieli sami się żywić resztkami jedzenia, które ze sobą zabrali z domu z Drohiczyna. Raz dziennie barka dobijała do brzegu i wtedy ludziom pozwalano rozpalić ognisko i coś ugotować. Z barek zesłańców przeładowano na motorówki, którymi podróżowali rzeką Czużyk. Wreszcie transport dotarł do tajgi, gdzie był koniec podróży. Zanim wypuszczono wszystkich na ląd, kazano ludziom złożyć pisemne oświadczenia, że przyjechali dobrowolnie na roboty na dwadzieścia lat i przyjmują obywatelstwo rosyjskie. Nikt nie chciał tego zrobić, ale było to warunkiem zejścia na ląd i otrzymania jedzenia. Zesłańców rozwieziono furami na drewnianych kołach po kołchozach. Kołchoz, do którego trafiła rodzina Ambrożewskich, nazywał się Krasny Jar. Każdą rodzinę

umieścili w domach kułaków przywiezionych czternaście lat wcześniej z Rosji. Rodzina kułaka składała się z czterech osób, a dom był mały. Gospodarze spali na łóżku w kuchni, ich dzieci w pokoiku na piecu chlebowym, a rodzina Ambrożewskich na podłodze na sienniku z trawy. Kułackie gospodarstwo domowe było niewielkie. Codziennie rano żona kułaka piekła kołacze z ziemniaków startych razem z łupiną i odrobiny mąki. Każdy kołchoźnik miał nie większą niż 25 arów działkę, na której hodował ziemniaki oraz krowę. Nie mógł jednak swobodnie dysponować mlekiem i śmietaną, ponieważ musiał oddać określoną ilość dla wojska. Rodzina Ambrożewskich pracowała w kołchozie przy rwaniu lnu, który rósł na wielkich plantacjach oraz przy młóceniu zboża. Przez całe lato zarobiła 22 kilogramy zboża. Żeby mieć co jeść, rodzina chodziła do lasu na maliny oraz grzyby. W każdą sobotę prababcia Helena z mężem Antonim szła do pobliskiego miasteczka Pudino, gdzie wymieniała własną odzież na żywność. Mówiła, że nie było sensu wymieniać ubrań na pieniądze, bo bieda była straszna i nie było czego za nie kupić¹⁴. *Czasami wymieniało się na butelkę masła, bo świeżego nie było, tylko mieli czasem na targu przetopione. To ziemniaków z wiaderko, bo tam sprzedawano na wiaderka. (...) W zimie przyniesione ziemniaki z bazaru jadło się już zmarzłe, w domu takie zmarzłe ziemniaki trzymało się na mrozie. (...) Raz w miesiącu przyjeżdżało z miasteczka NKWD. Musieli wszyscy Polacy meldować się u nich, czy nikt nie uciekł. Boże, a jak stamtąd uciec, jak to tajga, błota?!¹⁵* Prababcia Helena bardzo się wzruszała na wspomnienie pierwszych świąt w kołchozie. Opowiadała, że Sowieci nie świętowali Bożego Narodzenia. Ich głównymi świątami, które obchodzili były: Rewolucja Październikowa i Nowy Rok. Pierwsze święta w kołchozie wypadły w dzień roboczy. Kolację wigilijną stanowiła kawa zbożowa, zrobiony na niej kisiel, który rodzina zjadła na ciepło z chlebem. Co i rusz do kołchozu docierały informacje o masowej śmierci głodowej Polaków, Rumunów, ale i Sowietów. Sytuacja Polaków polepszyła się nieco z chwilą zawarcia umowy pomiędzy generałem Sikorskim a Stalinem. Polacy nie musieli już meldować się NKWD, mogli też wyjechać do innej miejscowości. Prababcia Helena też tak zrobiła z rodziną. Po wielu trudach dotarli do Kujbyszewa, gdzie jej teść, jako znakomity fachowiec murarz, zaczął

¹⁴ Relacja ustna Heleny Kosińskiej zasłyszana przez syna Bolesława Zbigniewa Kosińskiego.

¹⁵ Helena Kosińska, *Moja wojenna tułaczka na Syberii*, maszynopis opublikowany w: *Wojenne losy drohiczyniaków*, red. Barbara Mioduszevska, Drohiczyn 1997, s. 144.

pracę przy budowie fabryki. Dzięki temu rodzinie przydzielono pokój w baraku pracowniczym. Warunki na tamten moment wydawały się luksusowe, bo pokój był świeżo bielony i była w nim elektryczność. Niestety, żyć się tam nie dało z uwagi na plagę pluskiew i prusaków. Robactwa było tak strasznie dużo, że rodzina musiała spać na dworze. Do pracy na budowie z rodziny Ambrożewskich zgłosiły się trzy osoby: Wacław Ambrożewski, Antoni Ambrożewski i Helena Ambrożewska. Dzięki temu otrzymywali po 600 gramów chleba. Praca na budowie była wyjątkowo ciężka i dlatego prababcia Helena zrezygnowała z niej. Straciła przez to kartki na chleb. Z rezygnacją prababci nie mógł się pogodzić naczelnik fabryki i wielokrotnie wzywał ją do podjęcia pracy. Prababcia jednak nie zgodziła się. Ponieważ naczelnik nie dawał jej spokoju, zaszła w ciążę i 18 stycznia 1943 r. urodziła syna Henryka. Henryk urodził się w Kujbyszewie, w nowosybirskiej *obłasti*. W miejscowości, gdzie Ambrożewscy mieszkali, znajdował się nieduży szpital porodowy. Prababcia mówiła, że pieluszki dla Henia zrobiła ze swojej wyprawy, którą dostała, gdy wychodziła za mąż. Koszulki uszyła własnoręcznie, umieszczając haft na piersiach. Na szczęście miała pokarm, więc Henio nie głodował. Niestety, bardzo często płakał po nocach, a to przeszkadzało sąsiadom, więc rodzina nosiła go na zmianę na rękach. Bardzo często chorował, prababcia bez lekarstw była po prostu bezradna. Zabawek dla dzieci nie było żadnych. Prababcia kupowała mu dziecinne książeczki z obrazkami lub bez (w zależności jakie były), a Henio bawił się, przewracając kartki paluszkami. Po obejrzeniu książeczki rwał jej kartki na wąskie paseczki. Inną zabawką małego Henia był młotek stolarski i gwoździe, które precyzyjnie wbijał w podłogę. We wrześniu 1943 r. mąż prababci Heleny został powołany do wojska polskiego, do II Dywizji im. Henryka Dąbrowskiego, do saperów. W Riazaniu ukończył szkołę oficerską inżynierską i został oficerem. Pisał do rodziny dużo pięknych i czułych listów, aż pewnego dnia przestały one przychodzić. Zginął na polskiej ziemi koło Łukowa pod Siedlcami 29 października 1944 r. w stopniu podporucznika. Z początkiem 1946 r. rodzina Ambrożewskich otrzymała zgodę na powrót do Polski. Wszyscy bardzo się cieszyli, chociaż Sowieci studzili tę radość, mówiąc, że mogą być zawróceni z granicy. Na drogę zesłańcy otrzymali po jednej koszuli. Jeszcze w pociągu oficerowie sowieccy grozili zesłańcom, że nie wolno im mówić źle o miejscu, gdzie byli, bo mogą być zabrani z powrotem w to samo miejsce. W drodze powrotnej do Polski zesłańcy dowiedzieli się, że będą przejeżdżać przez Katyń. Wszyscy chcieli

zobaczyć, jak wyglądają groby naszych polskich oficerów. Nie zobaczyli. Pociąg wiozący zesańców zatrzymano przed Katyniem, nie pozwolono z niego wysiąść pod pretekstem, że za chwilę rusza dalej, jednak dopiero późną nocą cichutko pojechał dalej. Nie zobaczyli grobów Katynia, tylko świeżo zasadzony las¹⁶.

Znowu w domu. Rodzina Kosińskich

Po pięciu latach tułaczki rodzina Ambrożewskich 4 kwietnia 1946 r. wróciła do Polski. Wprawdzie prababcia Helena wróciła jako wdowa po polskim podoficerze, ale z synem i wspomnieniem wielkiej miłości do Antoniego. Cieszyła się, że wreszcie znowu będą mieszkać w swoim kraju, a jednocześnie czuła wielki żal do losu, że już nigdy nie zobaczy się ze swoim mężem¹⁷.

Po powrocie do Drohiczyna prababcia Helena zajęła się wychowaniem synka. Zaangażowała się w odbudowę społeczności i gospodarki Drohiczyna. Dzięki temu poznała swego drugiego męża, 11 lat starszego od siebie Kazimierza. Pobrali się rok po powrocie prababci Heleny z Syberii, 15 kwietnia 1947 r. Takie były początki mojej najbliższej rodziny. Zyskałam pradziadka Kazimierza. Pradziadkowie byli współzałożycielami Spółdzielni (dzisiejszego GS SCH) w Drohiczynie. Pradziadek Kazimierz Kosiński urodził się 14 lutego 1910 r. w Koczerach, wsi położonej nieopodal Drohiczyna. Był synem tamtejszego kowala. Zakochał się w prababci Helenie bez pamięci i ożenił się z nią, przygarniając jednocześnie jej synka Henryka. Małżonkowie zamieszkali w Drohiczynie, w wynajętym domu, w bliskim sąsiedztwie rodziny Olbrychskich. Z racji zbliżonego wieku Henryk zaprzyjaźnił się z Danielem Olbrychskim i koleżeństwo to przetrwało do dziś (pomimo tego, że Daniel stał się rozpoznawalnym, sławnym aktorem). Prababcia wspólnie z pradziadkiem Kazimierzem wybudowali dom w Drohiczynie przy ulicy (aktualnie) Mickiewicza, gdzie mieszkali przez długie lata, ciesząc się ze swoich dzieci. Los obdarzył ich (oprócz Henia): Bolesławem, Ireną, Grażyną, Janem i Kazimierzem. Pradziadek

¹⁶ Helena Kosińska, *Moja wojenna tułaczka na Syberii*, maszynopis opublikowany w: *Wojenne losy drohiczyniaków*, red. Barbara Mioduszevska, Drohiczyn 1997, s. 145-157.

¹⁷ Relacja ustna Heleny Kosińskiej zasłyszana przez syna Bolesława Zbigniewa Kosińskiego.

Kazimierz zmarł 18 maja 1973 r. w Drohiczynie. Prababcia Helena jeszcze długo mieszkała w ich wspólnym domu. Gdy wiek uczynił ją niedołązną, zamieszkała u jednej z córek Ireny (również w Drohiczynie). Zmarła w szpitalu w Hajnówce 14 stycznia 2012 r. w wieku 91 lat.

Dobro długo się pamięta, a jeszcze dłużej krzywdy wyrządzone niewinnie.

Helena z Miłkowskich Ambrożewska Kosińska

Polaków drogi kręte

Do informacji o konkursie „Historia jednej fotografii” podszedłem chłodno, chociaż interesuję się historią, większość książek, które czytam dotyczy przeszłości, oglądam filmy i słucham audycji o tematyce historycznej. Temat wydawał się tak ogólny, że zupełnie nie potrafiłem wymyślić, o czym ciekawym mógłbym napisać. Mój nauczyciel próbował podsunąć pomysł, że może o Sybirakach? Na naszym cmentarzu znajduje się pomnik poświęcony tym właśnie ludziom, ale czy zostało coś jeszcze do powiedzenia na ich temat? Powstały już książki, filmy, opracowania. Z ciekawością odniosłem się do spotkania z Sybirakami (zorganizowanego przez nauczycielkę, która zainteresowała mnie tym tematem), ale wciąż ze sceptycyzmem. Odbyło się kilka takich spotkań, ale ku mojemu zaskoczeniu pytań, które miałem, było coraz więcej, a nie coraz mniej. Okazało się, że obcowanie ze świadkami historii jest fascynujące, mimo że na wiele pytań nie znalazłem odpowiedzi, choć bohaterowie mojej opowieści byli otwarci, serdeczni i zależało im bardzo, aby ich przeżycia i wspomnienia zostały utrwalone, zapamiętane.

Mój bohater, pan Antoni Ratowt, urodził się w czasie zsyłki, a przyjechał z rodzicami i bratem do Polski, kiedy miał dwa i pół roku, więc bardziej jest to historia jego rodziców już nieżyjących i starszego brata niż jego samego, ale to właśnie on stoi na straży pamięci tejże historii i, jak sam przyznaje, wielu rzeczy nie wie, bo rodzice o tych wydarzeniach nie rozmawiali, a on nie pytał, kiedy jeszcze wszystkiego mógł się dowiedzieć. Po prostu okazało się, że istotne pytania, kiedy jeszcze żyli rodzice, nie zostały postawione (co z pewnością wynika z przekonania, iż ważne rozmowy kiedyś przeprowadzimy).



Bronisława i Klemens Ratowt po przyjeździe do Polski

Sybiracy – pierwsze skojarzenie – zesłani na Sybir, postaci i wydarzenia znane z lekcji historii i literatury romantycznej: powstańcy z roku 1830 i 1863, potem ci aresztowani po 17 września 1939 r. przez bolszewików na Kresach Wschodnich, czyli ziemiach obejmujących obszar wschodniego pogranicza dawnej II Rzeczypospolitej. Ku mojemu (i nie tylko) zaskoczeniu moi bohaterowie zostali zesłani na Sybir w roku 1949! Cztery lata po zakończeniu wojny! I właśnie ten fakt sprawił, że wciągnęła mnie ta opowieść. Oto „moja” historia:

Rodzice pana Antoniego to Klemens Ratowt ur. 1 grudnia 1906 roku w Ratowtach, powiat Wiłkomierz, woj. Kowno na Litwie i Bronisława Ratowt (z domu Gongit) ur. 10 listopada 1918 r. w Towjanach na Litwie. Pobrali się 14 października 1942 roku i zamieszkali w domu wybudowanym w latach 1936-1937 przez rodziców Klemensa: Feliksa i Marię Ratowt (z domu Blinstrup) w Ratowtach.

Dom był duży, parterowy, wykonany z drewna, kryty blachą, właśnie na pokrycie dachu właściciele zaciągnęli kredyt, który spłacali do 1939 r.

Z młodymi mieszkał również brat Klemensa – Władysław (ur. 1915 r.), wówczas jeszcze kawaler. Władysław przed wojną służył w polskim wojsku w randze sierżanta, był ułanem. Wrócił do domu w 1939 r. na pogrzeb

ojca i został na gospodarce ze starszym bratem. Po śmierci rodziców stali się współwłaścicielami domu, jak również 18-hektarowego gospodarstwa, w skład którego wchodziły pola, łąki i las oraz inwentarza w postaci krów, koni, drobiu, świń. Przy domu rosły drzewa i krzewy owocowe. Był to zasobny dom, w którym niczego nie brakowało. W czasie wojny inwentarz został mocno przetrzebiony na skutek obowiązkowych kontyngentów nałożonych na gospodarstwo najpierw przez okupanta niemieckiego w roku 1939, a następnie przez władze radzieckie, które Litwę zaanektowały w roku 1940 i utworzyły Litewską Socjalistyczną Republikę Radziecką.

Wydawało się, że wraz z końcem wojny rodzina zacznie nowy rozdział, tym bardziej, że Klemensowi i Bronisławie urodził się pierwszy syn Leon (30 maja 1946 r.). Niestety, formalne zakończenie wojny nie oznaczało końca walk. W okolicznych lasach mieszkali partyzanci, którzy nie uznawali władzy radzieckiej i nie złożyli broni. Często nocami przychodzili do państwa Ratowtów po pomoc: żywność, odzież, alkohol. Wizyty te były na tyle częste, że psy domowe przestały szczekać, oswojone przez nocnych gości, natomiast o świcie pan Klemens bronował pole, aby zatrzeć ślady prowadzące z lasu przez jego pole do jego domu.

W ciągu dnia nękało ich NKWD (Ludowy Komisariat Spraw Wewnętrznych) szukające partyzantów oraz władze, które nakłaniały, aby gospodarstwo oddać, wcielić do kołchozu, na co właściciele nie chcieli się zgodzić.

Nadszedł marzec, cieszący się na nadchodzące święta, planowano przygotowania. Zima wciąż dawała się we znaki, na drogach i polach leżał śnieg. 19 marca 1949 roku NKWD zastukało do domu Klemensa i Bronisławy, chwilę wcześniej przez okno uciekł Władysław, który się golił i spostrzegł nadjeżdżające samochody – został zauważony i w jego kierunku żołnierze zaczęli strzelać (opuszczając dom, rodzina nie wiedziała, czy został zabity, czy udało mu się dotrzeć do lasu). Kazano w ciągu pół godziny spakować najpotrzebniejsze rzeczy i szykować się do drogi. Pani Bronisława opowiadała, że żołnierze byli życzliwi, podpowiadali, aby wziąć ciepłe rzeczy, kożuchy i jedzenie. Jeden z nich spostrzegł maszynę do szycia, powiedział, że przyda im się na zesłaniu i załadował na sanie, na które zaniecono również dwie walizki, w tym jedną drewnianą (niemiecką skrzynię po granatach) i jutowy worek z jedzeniem (również ponemiecki z nadrukiem hitlerowskiego godła – przechowywany do dzisiaj jako pamiątka). Ratowtowie wyruszyli z trzyletnim synem, nie wiedząc dokąd. Z opowieści bohaterów wynikało, że w domu nie było zbyt dużo jedzenia, które można było wziąć na drogę, gdyż nadchodziły święta wielkanocne i spiżarnia miała dopiero zostać

uzupełniona. Pani Ratowt zabrała książeczkę do nabożeństwa, różaniec i rodzinny album z kilkoma zdjęciami. Jak wspominała po latach, różaniec zawsze miała przy sobie w kieszeni i nigdy o nim nie zapomniała, natomiast rodzinny album zachował się w rodzinie do dzisiaj.

Nie wyjaśniono dokąd i dlaczego gospodarze zostają zabrani z domu. Kazano im podpisać protokół stwierdzający, że Klemens Ratowt jest kułakiem¹ posiadającym 18 hektarów ziemi, 2 konie i 2 krowy. Właściciele twierdzą, że ich stan posiadania został znacznie zaniżony, gdyż to, co nie zostało uwzględnione w inwentaryzacji, żołnierze mogli po prostu ukraść i sprzedać dla własnej korzyści.

Dom został splądrowany, rzeczy rozkradzione, dokumenty, m.in. świadectwo urodzenia Leona i obrazy świętych wałały się po podwórku. Odnalazł je stryjeczny brat Edward i zabrał do domu.

Rodzinę Ratowtów przewieziono do Janowa, gdzie znajdowała się stacja kolejowa i tam wraz z innymi rodzinami zabranymi z okolicznych wsi zostali umieszczeni w bydłych wagonach i wyruszyli w podróż, która trwała prawie miesiąc, a dokładnie 28 dni. Warunki podróży były dramatyczne, toaletę stanowiła dziura wyrębana w podłodze w rogu wagonu. Aby zapewnić trochę intymności, ktoś przesłonił to miejsce kocem. Podróżni mieli zakaz opuszczania wagonu, na nielicznych postojach nielicznym wolno było wyjść po wrzątek czy kupić jakąś żywność od miejscowych handlarek, proponujących swój towar na stacjach. Codziennie liczony był stan wagonu, zabierano ciała zmarłych. Dostarczano też kocioł ciepłej brei nazywanej zupą. Ludziom dokuczało zimno, brud, robactwo (przede wszystkim wszy i pluskwy) oraz smród niemytych ciał. W przypadku choroby ludzie nie mogli liczyć na pomoc lekarską, starali się pomóc sobie wzajemnie, wspierać się i dodawać nadziei.

Po przyjeździe na miejsce wszyscy zostali zakwaterowani w małych barakach z drewna, krytych darnią, które składały się z jednej izby i małej kuchenki. Do takiego lokum kierowano 3 rodziny (około 12 osób), na każdą rodzinę przypadała jedna prycza, dzieci spały na podłodze. Pierwszą czynnością po podróży był nakaz rozebrania się i oddania rzeczy do wygotowania, strzyżenie włosów i obsypywanie ciała proszkiem do dezynfekcji.

¹ W różnych dokumentach pojawia się termin kułak – pogardliwe określenie bogatego rolnika, niechętnego władzy komunistycznej i forsowanej przez nią kolektywizacji wsi albo rolnika, chłopca stawiającego opór przy przejmowaniu jego ziemi przez kołchoz.

Zesłańcy dobytek przywieziony ze sobą trzymali pod łóżkiem, rzeczy wieszali na kołkach wbitych w ścianę nad pościelą.

Docelowym miejscem pobytu okazała się miejscowość na Syberii – Uczum, obwód krasnojarski, powiat użurski. Ratowtowie zostali umieszczeni w jednej izbie z dwiema litewskimi rodzinami, między innymi państwem Saidisami (powrócili na Litwę), z którymi utrzymywali kontakty do końca życia. Państwo Ratowtowie od 26 kwietnia 1949 r. zostali skazani na życie i pracę w sowchozie zarodowym, czyli państwowym gospodarstwie hodowli zwierząt.

Bohaterowie wspominali, że pracowali od świtu do zmierzchu przez cały tydzień, również w niedzielę, choć wtedy krócej. Zabronione były praktyki religijne. Jedynym wynagrodzeniem za pracę była żywność, a i tak dokuczały głód i nędza. Pani Bronisława opowiadała, że wymieniła na jedzenie trzy zabrane z domu sukienki. Kiedy pracowała przy sianokosach – powoziła wołami, dostarczała paszę dla zwierząt, zbierała ziarno w walonki i niosła do domu, aby zetrzeć je na mąkę i zrobić jakieś placki. Zatrudniona była jako dojarka, więc czasami udawało jej się przemyścić za pazuchą buteleczkę ciepłego mleka – wykroczenie to było karane przeniesieniem do cięższej pracy. Obsługiwała też dwa razy w tygodniu łaźnię: należało narąbać drewna, ogrzać sałę kąpielową, napełnić dwie drewniane kadzie z wodą i jedną z nich nagrzać do odpowiedniej temperatury. Pracowała także razem z mężem przy sianokosach, czyli suszeniu skoszonych traw i układaniu już wysuszonego siana w wielkie stogi.

Rok 1953 był bardzo ważny dla rodziny Ratowtów, ale i wszystkich zesłańców, bo był to rok śmierci Stalina, narodzin Antoniego, pójścia Leona do pierwszej klasy. 18 sierpnia 1953 r. urodził się drugi syn Klemensa i Bronisławy (choć w dokumentach jest data 10 października 1953 r., bo w tym dniu urzędnik spisywał nowo narodzone dzieci).

Pan Leon wspomina, że w szkolnej izbie, w której się uczył, wisiał lekko kolorowy portret Stalina, klasy były łączone i w szkole pracowało dwóch nauczycieli. Lubił swoją książkę „Rodnaja rzecz”, z której uczył się wierszyków i poznawał ciekawe opowieści – czytanki. Miał kłopot z tabliczką mnożenia i dlatego musiał zostawać po lekcjach. Dzięki pomocy mamy (miała ukończone 4 klasy podstawówki) poradził sobie z rachunkami i nauka szła mu coraz lepiej.

Ważnym wydarzeniem w życiu dzieci była choinka i wizyta Dziadka Mroza. Dostawały wtedy pierniki i przecier jabłkowy. Szkołę i żłobek czasami wizytował felczer, nie przywoził leków, kazał stosować dostępne sposoby

leczenia: wystawiać dzieci na słońce, nacierać sadłem, stawiać bańki. Dzieci były bardzo niedożywione, cierpiały na anemię, szkorbut, szkarlatynę.

Pan Leon wspomina również, jak jako pięcio- może sześćoletnie dziecko chodził do punktu czerpania wody – studni artezyjskiej – po wodę. Nosił ją w dwóch małych wiaderkach (pięciolitrowych po marmoladzie) zaprzyjaźnionym staruszkom, a za to dostawał placki ziemniaczane z płyty i pół szklanki zsiadłego mleka od kozy.

Śmierć Stalina była wydarzeniem, po którym represje złagodzone, życie stało się trochę lepsze, sytuacja materialna zesłańców uległa znacznej poprawie. Za swoją pracę zaczęli otrzymywać pieniądze, przydzielono im działki, na których mogli hodować warzywa, wolno było trzymać przy domu zwierzęta. Moi bohaterowie posiadali świnie i cielaka. Niedziela stała się dniem wolnym od pracy (choć nadal pracowano przy zwierzętach czy latem przy zbiorach), sąsiedzi zbierali się w klubie, przynosili instrumenty i spędzali czas przy muzyce i na rozmowach.

Jesienią 1955 r. rodzina Ratowtów otrzymała wiadomość – odpowiedź na swoje pisma do władz, które pozwalały im opuścić Rosję Radziecką i wyjechać do Polski. Podróż rozpoczęli w listopadzie 1955 r. pociągiem osobowym, z osobnym przedziałem dla każdej rodziny, zamykanym na klucz. Za podróż nie płacili. Wracali z inną polską rodziną – państwem Maliszewskimi: Albinem, Zofią i ich córkami, którzy osiedlili się w Słubicach. Do końca pozostali w przyjaznych relacjach.

Przyjechali do Polski w grudniu 1955 r. do punktu repatriacyjnego w Nowym Sączu. Tam ich zakwaterowano i zapewniono wyżywienie. Jako miejsce zamieszkania ustalono powiat słubicki, jako miejsce osiedlenia rodzina wybrała Rzepin. 20 grudnia 1955 r. w Słubicach otrzymali kartę osiedleńczą i zasiłek na osiedlenie. Na nowe życie wybrali Polskę, ponieważ nie chcieli żyć w kraju, który odebrał im dom i w którym nie ma Boga.

Z dokumentów o tzw. rehabilitacji, czyli o przywróceniu praw utraconych na mocy wyroku uprawnionego organu (w tym przypadku na podstawie Uchwały Rady Ministrów Litewskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej z dnia 20.08.1988 r.) wynika, że przebywali na zesłaniu od 27 marca 1949 r. do 14 lipca 1956 r.

Moi rozmówcy twierdzą, że ich rodzicom ten trudny czas pomogły przetrwać wiara w Boga, kontakt z rodziną i życzliwość towarzyszy niedoli. Na zesłaniu prowadzili korespondencję z siostrą pana Klemensa – Kazimierą, to ona przysyłała im paczki na Syberię. Pan Leon pamięta walonki w paczce, a w nich jabłka. Wspomina, że nigdy wcześniej ani potem nie jadł owoców

Zielona Góra, 1990.07.13.

Tłumaczenie z języka rosyjskiego

Wyciąg z archiwum

Z lewej strony stronicy godło Litewskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej oraz nadruk: Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, 232754 Wilno.. ul. Janonia 2 Centrum Informacyjne.....

Ob. Ratowt Klemens syn Feliksa urodzony w 1906r.....

Ratowt Bronisława córka Adama urodzona w 1918r.....

Ratowt Leon syn Klemensa urodzony w 1946r.....

Wysiedleni z Litewskiej SRR z powiatu Ukmergie miejscowości Ratowty do obwodu Krasnojarskiego w powiecie usurkkim na specjalne zesłanie od 27 marca 1949 do 14 lipca 1956.....

Na podstawie Uchwały Rady Ministrów Litewskiej SRR z dnia 20 sierpnia 1988 roku nr.274 zostali rehabilitowani.....

Naczelnik A.A.Piaczulis-podpis „Starszy inspektor E.B.Petrauskas-podj Dokument opatrzony okragłą pieczęcią o treści: "Centrum Informacyjne przy Ministerstwie Spraw Wewnętrznych Litewskiej SRR".....

Sprawa: 1989.04.I7.nr.6/6 P-552I.....



Reg. Numer Nr 12/90

Ja, Danuta Holcowa, Główna Księgowa, w Zielonej Górze, tłumaczę z języka rosyjskiego na język polski dokument opatrzony okragłą pieczęcią o treści: "Centrum Informacyjne przy Ministerstwie Spraw Wewnętrznych Litewskiej SRR".

Policeno opłatę zgodnie z taryfą (ibid. 10 z 30.VIII.88 por. 252 04) Zielona Góra, dnia 13.07.1990 r.

DANUTA HOLCOWA
Hulcowa Danuta
Zielona Góra, 13.07.1990

Za zgodności z oryginałem
PREZES KOŁA
Władysław Holcowski
Związek Sybiraków
Oddział Włocławski
KOŁO W ZIELONĄ GÓRĘ

o takim zapachu i takim smaku, soku spływającym po ręce. Porwał dwa jabłka, wybiegł z domu i zjadł je w samotności jedynie z wyrzutem, że z nikim się nie podzielił.

Jak się również okazało, rodzina, a ściśle mówiąc Kazimiera i Władysław – rodzeństwo Klemensa, czyniło starania, pisało do władz komunistycznych o zwolnienie Ratowtów i pozwolenie na powrót do domu.

Po odzyskaniu wolności dowiedzieli się, że Władysławowi w dniu wywózki udało się zbiec do lasu, gdzie ukrywał się do 1953 r., kiedy to ogłoszono amnestię. Pomagała mu przetrwać siostra Kazia. Czasami zastanawiał się, czy na zesłaniu nie byłoby mu lżej żyć, niż czuć się stale zagrożonym i być tropionym jak zwierzę. Kiedy odzyskali kontakt z bliskimi, zyskali informacje, że na Sybir zostały zesłane obie siostry pani Bronisławy wraz z rodzinami. One także przyjechały do Polski, jedna osiedliła się na Mazurach, druga w okolicach Jeleniej Góry.

Po osiedleniu się w Rzepinie, dzieci Klemensa i Bronisławy w końcu poczuły się bezpieczne, miały wreszcie normalny dom, wracały do zdrowia i nabierały ciała. W nowym domu 5 stycznia 1960 r. urodził się trzeci syn – Marian.

Ojciec natomiast zawsze tęsknił do miejsca, które zostawił na Litwie, jak wspominał: tam piękniej pachniał wiatr, owoce były bardziej soczyste a ziemia czarniejsza i żyźniejsza.

Rodziny dom na Litwie został odzyskany w 1989 roku, zamieszkał w nim syn Władysława Ratowta – brata Klemensa. Odbywają się w nim zjazdy rodzinne, w których bierze udział rodzina z Polski.

29 stycznia 1949 r Rada Ministrów Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich podjęła uchwałę nr 390-138 / ściśle tajne, o wysiedleniu z terenów Litwy, Łotwy i Estonii kułaków z rodzinami, rodzin bandytów (partyzantów prowadzących walkę przeciw wojskom radzieckim), którzy się ujawnili po wojnie. Wykonawcza uchwała Rady Ministrów Litewskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej nr 176 / ściśle tajne, z 19.03.1949 r. mówiła o wysiedleniu do odległych rejonów ZSRR 6 tysięcy rodzin kułackich, którym zezwolono na zabranie rzeczy osobistych, drobnych sprzętów i zapasu żywności. Z Litwy wywieziono wówczas około 30 tysięcy osób, rodzin tzw. kułaków, bandytów i nacjonalistów. Operacja ta miała kryptonim „Priboj” i rozpoczęto ją 25 marca 1949 r. a zakończono 29 marca 1949 r. W wyniku tej akcji Sowieci przeprowadzili masowe deportacje na Syberię z krajów bałtyckich (Litwa, Łotwa, Estonia). Celem tej operacji, przeprowadzonej pod hasłem *rozkułaczania*, miało być złamanie ducha oporu społeczeństw

Litwy, Łotwy, Estonii, sprzeciwiających się kolektywizacji i wspierających tzw. leśnych braci, czyli partyzantów.

Pociągi z deportowanymi kierowano do obwodu nowosybirskiego, omskiego, irkuckiego i krasnojarskiego. Operacja przyniosła zamierzony skutek, w ciągu kilku tygodni w większości wsi utworzono kołchozy (państwowe zakłady rolnicze), deportacje utrudniły działania ruchu oporu, który powoli wygasł, odcięty od zaopatrzenia, jakie dawały chłopskie, dobrze prosperujące gospodarstwa.

Uchwałami, ukazami, rozporządzeniami władze sowieckie decydowały o losach tysięcy ludzi, skazując na tragedię lub wręcz śmierć. „Ludzie ludziom zgotowali ten los”. W naszym codziennym, zwykłym życiu boimy się różnych rzeczy: choroby, kalectwa, braku pracy, śmierci bliskich, ale chyba nigdy nie wyobrażamy sobie utraty domu i losu, jaki stał się udziałem moich bohaterów. Te zdarzenia pokazują, jak niewiele znaczy życie pojedynczego człowieka w trybach historii.

Mamy wiedzę, zachowujemy pamięć, ale nie potrafimy uczynić świata lepszym.

Serdeczne podziękowania Państwu Alinie i Antoniemu Ratowtom za opowiedzenie historii swojej rodziny, otwartość i serdeczność; Panu Leonowi Ratowtowi za udostępnienie wspomnień przygotowanych dla Związku Sybiraków oddział w Szprotawie; Pani Wioletcie Nowak – nauczycielowi wiedzy o kulturze – za inspirację.

Życie zatoczyło koło. Dzień 89. urodzin Jana Maślaka

20 września Jan Maślak obchodził swoje 89. urodziny. To był bardzo przyjemny dzień, serdecznościom nie było końca. Wraz z Janem świętowały dzieci, wnuki i prawnuki. Gdy wieczorem pożegnał ostatnich gości, usiadł na kanapie i z uśmiechem wspominał chwile przeżyte z najbliższymi. Nagle jego wzrok padł na półkę, na której stały dwie fotografie. Jedna przedstawiała ukochaną żonę, Marię, zwaną przez wszystkich Manią. Wpatrując się w podobiznę Mani, zaczął do niej mówić półgłosem:

- To już 7 lat Ciebie nie ma... Tak trudno mi w to uwierzyć. Tak bardzo mi Ciebie brakuje. Nie, nie martw się o mnie, wszyscy o mnie dbają, mam wszystko, co potrzeba człowiekowi w moim wieku. Tak do Ciebie szepczę, bo chciałbym, byś była z nami... Ale Bóg postanowił inaczej i zabrał Cię do siebie.

Po chwili Jan spojrzął na drugą fotografię. Przedstawiała czas sprzed wojny, gdy Jan był Jasiem, 10 letnim chłopcem, najmłodszym dzieckiem w rodzinie. Zamknął oczy i przeniósł się 79 lat wstecz

Wołyń, osada Grzywa w powiecie Kamień Koszyrski, kresy II Rzeczypospolitej. Jest letnie niedzielne popołudnie 1939 roku. Do Andrzeja Maślaka, ojca Jana, przyszedł nauczyciel miejscowej szkoły.

- Panie Maślak, kupiłem w mieście aparat fotograficzny, może wypróbujemy go dziś, zrobię fotografię pańskiej rodziny.

Andrzej prawie bez zastanowienia kiwa głową i zwraca się do żony:

- Weronika, zawołaj dzieci, pan nauczyciel jest tak miły, że zrobi nam zdjęcie.

Podczas gdy żona nawołuje czworo pociech, Andrzej rozmawia z nauczycielem.



Weronika i Andrzej Maślak oraz dzieci – Jadwiga, Piotr, Czesław, Jan, Grzywa 1939 r.

– Cieszę się, że wpadł Panu ten pomysł do głowy. Zrobię odbitki i wyślę do swoich, do Wieruszowa. Niech zobaczą, jaką mam wspaniałą rodzinę.

Andrzej nie pochodzi z Kresów. Urodził się w 1900 r. w Wieruszowie, znajdującym się wówczas pod zaborem rosyjskim. Co go pogało w świat? Walka w imię wyzwolenia Polski spod zaborów. Miał 17 lat, gdy zgłosił się na ochotnika do wojska. Zawierzył Józefowi Piłsudskiemu i nigdy się nie zawiódł. W 1920 r. Andrzej brał udział w Bitwie Warszawskiej. Niedługo potem, na mocy ustawy o osadnictwie wojskowym, otrzymał 25 hektarów ziemi w osadzie Grzywa na Wołyniu. Wkrótce ożenił się z panną Weroniką Kozakiewiczówną, Polką, córką gajowego z Hucni. Teściowie – Józefa z domu Paszkowska i Piotr Kozakiewicz byli potomkami powstańców styczniowych, którzy schronili się w wołyńskich lasach przed represjami cara za udział w powstaniu. Przychylnym okiem patrzyli na zięcia. Cieszyli się, że córka wyszła za człowieka honorowego, odważnego, dbającego o rodzinę.

Andrzej zamienił mundur na garnitur, ale i w wolnej Polsce sprawy ojczyzny stawiał zawsze na najwyższym miejscu. Jeździł na zebrania, również u siebie gościł bardzo często polskich policjantów, żołnierzy i innych działaczy. Siadywał wtedy z nimi nad niewielkim stawem położonym za domem. Tam, na osobności, debatowali na różne tematy związane z Polską. Również i tego dnia nauczyciel przyszedł, by porozmawiać o tym, co słyszało się wokół: że wkrótce wybuchnie wojna. Andrzej brał te wieści na poważnie. Jako były żołnierz wiedział, że wszystko jest możliwe. Wcześniej planował z żoną i dziećmi odwiedzić rodziców w Wieruszowie. Nie widział ich od bardzo wielu lat. Do tej pory codzienne obowiązki nie pozwoliły na to, ale w tym roku Andrzej chciał w końcu spełnić swoje marzenie. Na targu kupił dzieciom solidne, skórzane buty: córce Jadzi lakierki a synom: Piotrowi, Czeskowi i Jasiowi – najprawdziwsze oficerki. Posiadanie takich butów to było coś! Dzieci pękały z dumy. Ciągłe glansowane obuwie lśniło czystością. Z powodu pogłosek o wojnie Andrzej zrezygnował z dalekiej podróży do swego rodzinnego miasta, to dlatego propozycja nauczyciela tak go ucieszyła. Nie mogąc pojechać, pośle zdjęcie.

Jan uśmiechnął się na wspomnienie tego dnia. Przypomniał sobie, jak mama kazała ojcu usiąść na krześle pod gruszą a sama stanęła za nim i oparła się o poręcz. Jadzia i Piotr ustawili się po obu stronach rodziców. Czesiek był wysoki, więc przycupnął na trawie. A najmłodszy Jaś przybiegł ze stołkiem i szybko usadowił się przed ojcem. Nauczyciel miał już naszykowany aparat. *Uwaga! Zaraz wyleci ptaszek* – zawołał. Niektórzy jeszcze zdążyli się uśmiechnąć.

Ale teraz twarz Jana smutnieje, bo tamten wesoły dzień był ostatnim beztróskim czasem jego rodziny. 1 września wybuchła wojna. Nagle sąsiedzi – Ukraińcy, z którymi dotąd nie było zatargów, zaczęli zachowywać się jak obcy. Polacy coraz częściej słyszą złowieszcze słowa: *Już koniec waszego panowania na tych ziemiach*. 17 września Rosjanie zadają Polsce cios w plecy. Pod koniec września w rodzinie Maślaków wydarza się dramat: Andrzej zostaje aresztowany przez NKWD i osadzony w więzieniu. Weronika próbuje poruszyć niebo i ziemię, by zobaczyć się z mężem, przekazać mu paczkę z najpotrzebniejszymi rzeczami. Gdy w końcu udało się załatwić widzenie, Weronika zobaczyła zmianę, jaka się dokonała. Oto jej mąż, dotąd zawsze hardy, wesoły i opanowany, w sowieckim więzieniu stał się cieniem samego siebie. Andrzej doskonale zdawał sobie sprawę ze swojego położenia. Drżał też o los rodziny. Napominał żonę: *Trzeba szybko sprzedawać bydło, część zabijać i robić zapasy*. Zrozpaczona Weronika nie

mogła uwierzyć w to, co mąż szepnął jej na pożegnanie patrząc głęboko w oczy: *Musicie radzić sobie sami. Ja już przepadłem...*

Koniec 1939 roku jest dla rodziny Jana bardzo ciężki i smutny. Ale najgorsze dopiero nadejdzie...

Jan narzuca na siebie pled, bo od samego wspomnienia robi mu się zimno...

Jest 10 lutego 1940 r. Bardzo mroźny poranek. Domownicy zostają obudzeni głośnym waleniem do drzwi i krzykiem: *Zdieś sowiecka włast, atkroj dwieri!* Wpada enkawudzista, żołnierz i dwóch Ukraińców. Enkawudzista pyta Weronikę o Andrzeja, a usłyszawszy odpowiedź, mówi dziwne wtedy słowa: *To dobrze, że go nie ma, bo mógłby zginąć z rąk Ukraińców. Tereny tutaj bardzo niebezpieczne. I was też wywieziemy, będziecie odtąd żyć w innym miejscu.* Teraz okazuje się, jak przydatna była rada Andrzeja, by robić zapasy. Enkawudzista, nie wiedząc czemu, pozwala Weronice pakować prawie wszystko ze spiżarni na sanie, które już stoją przed domem. Może sam miał żonę i dzieci i żał mu się zrobiło młodej rodziny, która teraz w środku strasznej zimy ma opuścić swój dom na zawsze?

Do oczu Jana napływają łzy, przed oczami staje mu bowiem wywózka towarowym pociągiem, w okropnych warunkach, płacz dzieci, lament matek, bezsilność mężczyzn. Wielu ludzi nie wytrzymało trudów podróży i pozostało w drodze na zawsze, a ich ciała rosyjscy konwojenci kazali pozostawić wzdłuż torów. Pociąg podążał ciągle na północny wschód, by po przeszło sześciu tygodniach gehenny dotrzeć do Archangielska, miasta portowego nad *siewierną Dwiną* wpadającą do Morza Białego. Dalej Polacy więzieni są saniami. Mróz sięga kilkudziesięciu stopni.

W swoich wspomnieniach Jan widzi znów bezkresną tajgę i baraki w śniegu. To *specposiołek* Joźma, do którego została zesłana rodzina Maślaków. Prawie trzy tysiące kilometrów od domu. Jan czuje na nowo to uczucie osamotnienia, tęsknoty za Polską, opuszczenia, które towarzyszyło zesłańcom każdego dnia na Sybirze. Nie da się inaczej określić zesłania w Rosji, jak poprzez przytłaczające słowa: ogromny głód, straszne zimno, nędzne odzienie, codzienne ubóstwo, nieleczone i wyniszczające choroby, katorżnicza praca, zabrane dzieciństwo, rozpaczliwy płacz, częsta śmierć. Mama Jana i dwaj starsi bracia pracują ponad swoje siły przy ścinaniu drzew w tajdze, siostra kosi olbrzymie łąki na równi z mężczyznami, potem udaje jej się zdobyć pracę kucharki na statku pływającym rzeką Piniegą. Nieletni Jan pomaga przy pasieniu krów a także w stolarni i kuźni. Jedyłą zapłatą za ciężką pracę jest przysłowiowa kromka chleba... Głód nigdy ich

nie opuszcza. To prawdziwy cud, że cała rodzina przeżyła. Wielu nie miało tego szczęścia.

Jan ociera łzę, oto bowiem po przeszło sześciu latach zesłania w dziejach Maślaków zaczyna się lepszy rozdział. Pociąg repatriacyjny przywiózł ich na *ziemie odzyskane*, w okolice Rawicza. Każdy próbuje zacząć na nowo żyć. Mimo poszukiwań nie udało się odnaleźć ojca, długo jeszcze nie będzie wiadomo, jaki los go spotkał...

Kilka lat po powrocie z Rosji miało miejsce niezwykle zdarzenie. Do drzwi w nowym domu Maślaków zastukał niespodziewany gość, kobieta, która podała się za Anastazję, siostrę ojca. Domownicy ze zdumieniem słuchają jej opowieści o tym, jak poszukiwała ich przez Czerwony Krzyż. *Jesteście dziećmi mojego brata* – mówi Anastazja i wyjmuje z torebki zdjęcie. **To jest TA fotografia zrobiona w ostatnie lato przed wojną przez nauczyciela!** Andrzej zdążył wysłać ją do Wieruszowa. Jeden z synów Andrzeja, Piotr, mówi przez łzy: *Ta kobieta ma nasze zdjęcie z ojcem. To dowód, że ona jest naszą rodziną!* Zapanowała wielka radość. Okazało się, że Andrzej był najmłodszym dzieckiem, a po wojnie z wieruszowskiej rodziny żyła już tylko Anastazja.

Jan patrzy teraz na twarz ojca na fotografii. Przez pięćdziesiąt lat los Andrzeja nie był znany. Dopiero po zmianach ustrojowych w Rosji i Polsce rodzina Maślaków otrzymała pismo zawiadamiające o tym, że nazwisko Andrzeja znajduje się na Ukraińskiej Liście Katyńskiej. Został zamordowany wiosną 1940 roku strzałem w tył głowy, a jego ciało złożono w dole śmierci w Kijowie-Bykowni. Jesienią 2012 roku otwarto w tym miejscu Polski Cmentarz Wojenny.

W pokoju zapanował półmrok, zarys postaci na zdjęciu lekko zatarł się. Z całej rodziny przedstawionej na fotografii pozostał tylko Jan. Wszyscy inni już nie żyją. Odszedł tamten świat.

Pomimo ogromu bolesnych wspomnień, jakie wywołuje to zdjęcie, Jan bardzo lubi na nie patrzeć. Widzi wtedy siebie, małego Jasia otoczonego kochającą rodziną. Życie zatoczyło koło. Oto bowiem i teraz, jako stary człowiek wśród dzieci, wnuków i prawnuków, czuje się bezpiecznie i dobrze, jak wtedy, w ostatnie lato przed wojną...

Takie właśnie skojarzenie przyszło mu na myśl, gdy na aparacie cyfrowym córka pokazała mu zdjęcie, które zrobiła tego dnia: naokoło wianuszek najbliższych a w centralnym miejscu siedzi uśmiechnięty 89-letni Jan...

...A serce tęskni...

*Старые фото, как память из прошлого,
Хранятся они на альбомных страницах.
Такие родные, такие хорошие,
Такие любимые, милые лица.*

*Казалось, что жизнь не такая уж сложная,
Но только с годами сложнее оказалась.
Старое фото беру осторожно я,
Так мало на память о прошлом осталось.*

*Под пальцами глянец теплее становится,
И, кажется, прошлое вновь возвращается.
А ночью приходит подруга бессонница,
И с ней все потери на два умножаются.*

*События прошлые память прокрутит,
А утром захватят иные заботы.
И тех, кто ушел, уже больше не будет.
Остались на память лишь старые фото.*

Autor nieznaný

Stare czarno-białe zdjęcie z oderwanym kącikiem, pięknie oprawione w ramkę ze szkłem. Jest to zdjęcie rodziny Barańskich: Hipolit i Magdalena, a obok ich dzieci – Piotr, Jan, Teofilia, Hania, Ola.

Jedna duża rodzina. Na razie są razem, dlatego są spokojni i bezpieczni. Są młodzi, zdrowi i pełni planów na przyszłość. Wydawało się, że tak będzie zawsze – ciepły dom, bezpieczne ręce ojca, kochające matczyne serce.

A jednak życie jest dramaturgiem, potrafi zapętlić tak koleje losów, że wymyśleć ich po prostu się nie da. Rewolucja i wojna porzuciła rodzinę



Rodzina mojego dziadka: rodzice, bracia i siostry

Barańskich po całym świecie. Z wieloma kontakt już dawno się urwał. O tym, co musiała przeżyć ta rodzina, jak ułożyły się losy jej członków, są moje wspomnienia.

Mój dziadek, Piotr Barański, urodził się w rodzinie Hipolita i Magdaleny Barańskich w miasteczku Indura. Jest to nieduża miejscowość znajdująca się 25 km na południu od Grodna. W okresie międzywojennym ludność Indury stanowiła 2600 mieszkańców. Wśród nich: Białorusini, Polacy, Rosjanie, Żydzi, Tatarzy. W miasteczku znajdowały się kościół, cerkiew i synagoga. W rodzinie mego dziadka wszyscy byli katolikami. Byli to Polacy – patrioci, dla których odwiecznym hasłem były słowa: Bóg – Honor – Ojczyzna. W rodzinie rozmawiano w języku polskim, pielęgnowano dawne tradycje i obyczaje polskie. Dzieci wychowywano w wierze w Boga i szacunku do ludzi. Rodzice troszczyli się o to, by dać dzieciom wykształcenie, wysyłając je do szkoły w Indurze lub w Grodnie. Uczyli uczciwości i zamiłowania do pracy.



Kamienica mojego dziadka w Indurze, 1958

Rodzina Barańskich miała siedmioro dzieci. Nie była biedna, w ich posiadaniu znajdowało się 25 ha ziemi, hodowali zwierzęta, uprawiali rolę. Mieli dużą kamienicę, zabudowania gospodarcze, narzędzia do pracy na roli, konie.

W 1912 r. dziadek i jego siostra Antonina wyjechali do Ameryki do Pittsburgha. Tam dziadek znalazł pracę, dużo pracował, miał dobre wynagrodzenie: za tygodniową wypłatę można było kupić garnitur, obuwie, bieliznę, produkty żywnościowe i jeszcze trochę zostawało. Wkrótce siostra Antonina wyszła za mąż i została w Stanach Zjednoczonych na zawsze.



Piotr Barański s. Hipolita z siostrą

Po kilku latach przebywania w Ameryce, zgromadziwszy pewną sumę pieniędzy, w 1914 r. Piotr przyjechał do Ojczyzny, aby odwiedzić swoją rodzinę. W tym też roku rozpoczęła się pierwsza wojna światowa, granice zostały zamknięte i nie było możliwości powrotu do Ameryki. Wtedy dziadek udał się do Piotrogradu. Pracował w Zakładach Putiłowskich. Praca była dobrze opłacana, ale 1917 r. zaczęła się rewolucja i nastąpił: głód, rozboje, dewastacja mienia. Ciężkie czasy, jak wiadomo, lepiej przeżywać z rodziną, dlatego dziadek wrócił do domu do Indury. Pracował na roli, prowadził gospodarzkę.

W 1920 r. ożenił się z Anną Ejsmont, założył własną rodzinę, na świat przyszły dzieci: Leonida, Waldemar, Irena, Jerzy, Ryszarda.



Babcia Anna c. Antoniego z dziećmi: Leonidą, Waldemarem, Ireną, Jerzym, Ryszardą

Najstraszniejszym wydarzeniem, jakie może się wydarzyć w życiu każdego z nas jest wojna. 17 września 1939 r. przyszli bolszewicy. A wraz z nimi przyszły: nieporządki, wszy, bieda, zło.

14 października 1939 r. za antysowiecką agitację i działalność kontrrewolucyjną został aresztowany brat mojego dziadka – Jan Barański s. Hipolita urodzony w 1883 r. Pracował jako księgowy w magistracie, był organizatorem

funduszu wzajemnego wsparcia. Żydom, wówczas mieszkającym w Indurze i prowadzącym swój biznes, działalność Jana bardzo się nie podobała. Dlatego napisali donos do władz i Jan został aresztowany.



Jan Barański s. Hipolita, 1937 r.

Osadzono go w więzieniu w Grodnie. 14 czerwca 1941 r. został skazany na 8 lat łagrów z konfiskacją majątku za działalność kontrrewolucyjną. Ponieważ Niemcy już byli gotowi dokonać napadu na ZSSR, więźniów wywieziono do Mińska, a stamtąd pędzono w kierunku Czerwieni, na wschód.

Dalsze losy Jana były nieznane przez długie lata. Poszukiwania nie przynosiły żadnych skutków. Dopiero w 1980 r. tuż przed swoją śmiercią przyszedł do nas pewien człowiek, mieszkaniec Indury, i opowiedział, że razem z Janem byli pędzeni pieszo do Czerwieni.

Wówczas stan zdrowia Jana się pogorszył, w więzieniu bili i znęcali się nad więźniami. Do momentu uwięzienia Jan był zdrowy. Więźniowie pomagali i wspierali siebie nawzajem, na ile było to możliwe. Kiedy żołnierze grozili Janowi, poprosił swego przyjaciela o pozostawienie go, w przeciwnym wypadku zostaliby rozstrzelani obaj. Człowiek ów posadził Jana na chodniku, a sam poszedł dalej. Po kilku krokach usłyszał strzał. Obejrzał się i zobaczył, że Jan został rozstrzelany.

Nie wiemy dotychczas, gdzie został rostrzelany nasz dziadek, gdzie się znajduje jego mogiła, jeśli w ogóle istnieje.

17 maja 1989 r. Jan Barański został zrehabilitowany.

W 1941 r. na terytorium Grodzieńszczyzny wkroczyli Niemcy. W Indurze zapanował tzw. „niemiecki porządek”. Wszystkich Żydów zabrano do getta, a po roku wysłano do obozów pracy i zagłady w Treblince i Oświęcimiu.

W okresie od 17.09.1939 r. do 22.06.1941 r. na terytorium Zachodniej Białorusi aresztowano około 45 tysięcy osób. Większość z nich rozstrzelano lub zesłano do łagrów, obozów zagłady. W ciągu lat 1939-1945 miały miejsce cztery fale deportacji. Ostatnie wagony wiozące deportowanych

opuszczały Zachodnią Białoruś już w trakcie bombardowań. Mój ojciec, Jerzy Barański, opowiadał, że jego ciocia, Teofilia Rzewucka, też została deportowana z rodziną za to, że jej mąż był naczelnikiem policji polskiej. W 1941 r. jej mąż został aresztowany, a ją z dziećmi wysłano na Syberię. Nad Baranowicze nadleciały niemieckie samoloty i zbombardowały pociągi. Cioci Teofilii z dziećmi udało się uciec i uratować. W ciągu kilku dni udało im się dotrzeć do krewnych w Indurze. Rodzina z radością i wdzięcznością Bogu za ocalenie swoich bliskich przyjęła ciocię. Wspólnie przeżyli wojnę, a po jej zakończeniu ciocia Teofilia ze swoimi dziećmi wyjechała do Polski.

Brat mojego ojca Waldemar i siostra Leonida należeli do Armii Krajowej. O swojej wojennej działalności opowiadali bardzo mało, ponieważ przez długie lata był to temat tabu.

W 1944 r. Białoruś została wyzwolona od faszystowskich najeźdźców. Wkrótce sąsiedzi donieśli władzy, że w domu Barańskich przechowywano broń. W wyniku donosu został aresztowany dziadek Piotr i jego starszy syn Waldemar. W domu przeprowadzono rewizję. Babcię posadzono na krzesło i wycelowano w nią karabin. Komisarz powiedział: „Если будет выстрел – стреляй старуху”. A babcia miała jeszcze troje małych dzieci. Na szczęście, broni nie znaleziono. A po odejściu żołnierzy, babcia zauważyła, że zginał zegarek. Prawdopodobnie, zabrali go „wyzwoliciele”.

10 grudnia 1944 r. członkowie rodziny zostali aresztowani i osadzeni w więzieniu w Grodnie. Nadeszły straszne czasy. Waldemar, ponieważ był członkiem AK, został oskarżony o zdradę ojczyzny, tzn. Związku Radzieckiego. Dziadka oskarżano o antysowiecką agitację, dlatego, że był sołtysem. Na przesłuchiwania wzywano każdej nocy. Bito. Znęcano się. Przesłuchujący chcieli usłyszeć to, czego tak naprawdę nie było. Stryjek opowiadał, że podczas przesłuchiwań przywiązywali go do krzesła i strzelali. Kule gwizdały obok samej głowy. Ludzi oblewano zimną wodą i bezlitośnie się znęcano. W takich warunkach trudno było się nie złamać. Lecz oni wiedzieli, że są niewinni, że w domu na nich czeka rodzina. To podtrzymywało ich na duchu i pomagało żyć.

Tymczasem w Indurze do Bożego Narodzenia każdej nocy dom otaczali żołnierze radzieccy, przy świetle księżyca błyszczały ich automaty. Czekali na przyjscie akowców.

Żołnierze zabrali wszystko – zboże, bydło, produkty żywnościowe, konie, pieniądze. Rodzina sprzedała wszystko, co mogła, aby za te pieniądze odkupić dziadka i stryjka Waldka. Lecz chciwość ludzka nie zna granic. Nie pomogły ani pieniądze, ani samogon... Rodzina wiedziała, kto napisał



Rodzina mojego dziadka, 1956 r.



Rodzina mojego dziadka, 1956 r.

donos. Jedyne, co babcia powiedziała do zdrajców były słowa: *Antoni, Antoni...* Kiedy członkowie AK opuszczali Białoruś i wyjeżdżali do Polski (kuzyni mojego ojca również byli członkami AK, później osiedlili się oni w Gdańsku, tam teraz mieszkają ich rodziny), prosili babcie, aby ujawniła imiona zdrajców. Lecz babcia odrzekła, że najwyższym Sędzią jest Bóg i ludzkie sumienie i każdy otrzyma to, na co zasłużył.

9 października 1945 r., po roku spędzonym w Republice Komi, stryjek Waldemar wrócił do domu. To, przez co musiał tam przejść i co przeżyć, znane jest jedynie Bogu. Praca w nieludzkich warunkach, głód, chłód. Niejednokrotnie śmierć patrzyła mu w oczy. Pewnego razu podczas pracy na budowie, stryjek się ześliznął z lodowatej drabiny i upadł z kilkumetrowej wysokości, a za chwilę w kilku centymetrach od głowy została wbita siekiera. Skąd ona tam się wzięła – została rzucona, aby zabić stryjka czy był to tylko przypadek, niestety, już nikt się nie dowie.

25 września 1945 r. Waldemar Barański został zrehabilitowany z braku dowodów winy.

Pociąg, którym stryjek Waldek wracał do domu, był tak przepełniony, że stryjek jechał na schodkach, przywiązawszy się do poręczy wagonu paskiem. I tylko Pan Bóg wie, jak udało się pokonać tak daleką drogę i przeżyć. Z pewnością tylko dlatego, że droga do domu jest najkrótszą drogą na świecie.

Dziadek Piotr został skazany na 5 lat łagrów za działalność antysowiecką i 5 lat zakazu wspólnego przebywania z rodziną. 5 lat przebywał w Republice Komi i 5 lat na *wolnym posiedzeniu*, 50 km od domu. Zrehabilitowany został 3 lutego 1964 r. z braku dowodów winy.

Ten okres życia dziadka i wujka ciągle pozostaje dla nas prawie nieznanym, ponieważ były to bolesne wspomnienia. Tylko niektóre fragmenty rozmów dziadków i rodziców zachowały się w pamięci. Rodzina bardzo ciężko przeżywała ten okres. Babcia została sama z czworgiem dzieci. Wysyłała paczki mężowi i synowi, a prawie każdej nocy jej mieszkanie było przeszukiwane.

W 1947 r. otwarto granice z Polską. Wielu Polaków zostawiło domy i wyjechało do Polski. Babcia wraz z dziećmi również była gotowa do wyjazdu, na podwórku stały już zaprzężone konie, rzeczy były spakowane, ale w ostatniej chwili zmieniła decyzję – nie mogła zostawić męża i ojca swych dzieci, w sercu mając cichą nadzieję, że niebawem czasy się zmienią i dziadek wróci.

Czas uciekał. Dziadek wrócił do domu dopiero po 10 latach. W Indurze rozpoczął pracę w gospodarstwie.

W 1966 r. dziadek zmarł. Lata łagrów i ciężkiego życia dały o sobie znać. Ale czas się nie zatrzymał. Dzieci wyrosły, zdobyły wykształcenie. Leonida została główną księgową, Waldemar – weterynarzem, Irena – pielęgniarką, Jerzy – rentgenologiem, Ryszarda – lekarzem. Każdy z nich założył własną rodzinę. Na świat przyszły dzieci, wnuki. Każdego roku, póki żyła babcia, na święta Bożego Narodzenia i Wielkanocy gromadziliśmy się w rodzinnym domu mego ojca – starej kamienicy, aby wspólnie przeżyć ten radosny czas świąt i wspominać tych, którzy, niestety, odeszli już do wieczności oraz podzielić się swoimi przeżyciami. Cała rodzina uczestniczy w świątecznej Mszy Świętej w kościele Trójcy Przenajświętszej w Indurze, dokąd uczęszczali nasi dziadkowie, gdzie chrzcili swoje dzieci i żegnali zmarłych.

Tak oto kończy się historia jednej fotografii. Nie jest to zwykłe opowiadanie, jest to historia całej rodziny. Bez względu na to, ile przyszło im przeżyć, ile bólu, smutku i cierpienia musieli znieść, potrafili zachować w sobie mądrość, miłość do ludzi, wierność Ojczyźnie i swojej rodzinie. Dziękuję im za wytrwałość, za siłę ducha, za to, że nie pozwolili wojnie i ludzkiej chciwości pokonać swej odwagi, zniszczyć ciepły dom, a przede wszystkim za to, iż przekazali nam cząsteczkę swojej duszy, a wraz z nią miłość, szacunek i wiarę w Boga.

Tłumaczenie wiersza z języka rosyjskiego na język polski. Tłumaczenie własne.

Stare zdjęcia jak pamięć z przeszłości

Ukryta na stronach albumu.

Takie bliskie, serdeczne i ciepłe,

Takie miłe, kochane nam twarze.

Myślano, że życie nie jest trudne

A jednak inaczej się okazało.

Stare zdjęcie biorę do ręki

Tak mało na pamięć z przeszłości zostało.

Pod palcami w dotyku ciepleje,

I wydaje się – przeszłość powraca,

A w nocy koleżanka – bezsenność

Ból utraty mnoży na dwoje.

Przeszłość w pamięci się kręci,

A rano nowy dzień przyjdzie,

I tych co odeszli, już więcej nie będzie,

Zostały na pamięć te stare ich zdjęcia.

Spis treści

<i>Wstęp</i>	3
Dariusz Lewicki <i>Wiele w niewielu słowach: los rodziny Lewickich</i>	7
Zdzisław Maciejewski <i>Zwycięska brygada</i>	17
Marta Zaniewska <i>Wiara w sercu moim</i>	27
Wiktoria Becla <i>Halinko, nie martw się, damy sobie radę</i>	33
Kamil Nowak <i>Tułacze losy Józefy Wrotniak, czyli Siostry Stelli od Najświętszego Sakramentu</i>	39
Emilia Orłowska <i>Koleżanki Sybiraczki</i>	51
Janina Szymczyk <i>Gdyby orłem być, wzrok sokoli mieć gdyby orłem lub sokołem unosić się nad Podolem... Tamtym życiem żyć</i>	63

Magda Bieniewska	
<i>Trudne wspomnienia</i>73
Adriana Darol	
<i>Nocą zapukali do nas – wspomnienia Jadwigi Statkiewicz</i>79
Milena Kosińska	
<i>Helena z Miłkowskich Ambrożewska Kosińska – syberyjska tułaczka skromnej szlachcianki i koleje losu jej rodziny</i>89
Michał Stefański	
<i>Polaków drogi kręte</i>101
Małgorzata Stelmaszczyk	
<i>Życie zatoczyło koło. Dzień 89. urodzin Jana Maślaka</i>111
Maryna Zaniewska	
<i>...A serce tęskni...</i>117



Złe wspomnienia najtrudniej wymazać z pamięci, bo stają się blizną na sercu. I choć życie toczy się dalej, one powracają w koszmarach, wyciskają łzy z oczu i sprawiają, że dłonie znowu zaczynają drżeć... Jakby z przenikliwego zimna...

Wspólna fotografia nie powinna być smutna, bo łączy na resztę życia. I choć na twarzach tego dziecka i tej dziewczyny niepozornie wkrada się uśmiech, ich oczy są przepelnione smutkiem, poczuciem straconego czasu, dzieciństwa i młodości, poczuciem braku beztrudnych chwil przypisanych przecież tym okresom życia.

To zdjęcie zostało wykonane w maju 1945 roku w mieście Pawłodar nad Irtyszem w Kazachstanie, na Syberii. Przedstawia 10-letnią Milusję Wysocką i 24-letnią Feliksę Roman. To pożegnalna fotografia, zrobiona na pamiątkę wspólnego losu dwóch rodzin, które połączyły wspólna tułaczka i niedola, głód i łzy zawieszane gdzieś między upalnym latem, a srogą zimą z dala od domu.

Orłowska Emilia, Koleżanki Sybiraczki

MUZEUM
PAMIĘCI
SYBIRU



wschodzący
Białystok

ISBN 978-83-948363-5-1



9 788394 836351